

odgłosy



6.XII.1970 r.

49 (681)

Cena 1,50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XIII



Fot. L. JANCZAK

- **Sprawność**
- **Skuteczność**
- **Profilaktyka**

ROZMOWA Z KOMENDANTEM MIEJSKIM
MILICJI OBYWATELSKIEJ W ŁODZI
PŁK. LEONEM CHRUŚLIŃSKIM

— Jak Towarzysz Komendant ocenia aktualny stan bezpieczeństwa i porządku publicznego w Łodzi?

— Działalność Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa w roku bieżącym charakteryzują pomyślne rezultaty, wyrażające się bezpośrednio brakiem wykroczeń, stwarzających poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa naszego miasta.

Nie odnotowaliśmy niebezpiecznych wystąpień, godzących w interesy ustroju. Co więcej, podkreślić trzeba, iż próby kontynuowania działalności antypaństwowej, nawet jeżeli były tylko w sferze zamysłu niektórych osób, zostały rozpoznane i ujawnione. Nie zawsze wymagały one jednak wkroczenia organów ścigania, jakkolwiek kontrolowano ich rozwój, stosując w odpowiednim momencie czynności profilaktyczne lub ostrzegawcze.

Zabezpieczając obywateli naszego miasta przed działalnością elementów kryminalnych, organa Milicji Obywatelskiej również bardzo poważnie brały pod uwagę działalność wrogich ośrodków propagandowych, a zwłaszcza ten ich kierunek działania, według którego ogólnie rozluźnienie dyscypliny społecznej sprzyja uprawianiu działalności antypaństwowej.

Myślę, iż wysiłek minionych miesięcy ocenić można jako skuteczny, czemu wyraz dała ocena Łódzkiej Instancji Partyjnej, władz administracyjnych oraz poszczególnych obywateli naszego miasta. Wspólną cechą tych opinii jest przekonanie, że po pierwsze — na ulicach naszego miasta odczuwa się spokój i po drugie — częściej, a zwłaszcza wieczorem i nocą, pojawia się w mieście funkcjonariusz Milicji Obywatelskiej tam gdzie jego interwencja jest niezbędna.

Ze swej strony do opinii takiej mogę jedynie dodać, że owa poprawa znajduje również swój oczywisty wyraz w ogólnym spadku przestępczości. Tylko w okresie 11 miesięcy br. wszczęliśmy o ponad 1000 postępowań przygotowawczych mniej, niż w analogicznym okresie roku ubiegłego. Przy tym zwróciłbym uwagę na kapitalną wagę zagadnienia. Otóż zbyt często stan bezpieczeństwa i porządku publicznego ocenia się przez pryzmat ilości przestępstw, podczas gdy dla

Dalszy ciąg na str. 3

JAN KOPROWSKI

POLSKA-NRF

Porozumienie polsko-zachodniemieckie o podstawach normalizacji stosunków pomiędzy obydwojoma krajami wywołało lawinę komentarzy, artykułów i przypomnień historycznych w prasie całego świata. Powiedzmy też od razu, że zarówno w prasie europejskiej jak i zaocennej porozumienie to oceniono pozytywnie, żeby nie powiedzieć: z ulgą i zadowoleniem. Natomiast w sposób bardziej zróżnicowany pisały na temat układu Polska — NRF dzienniki i czasopisma zachodniemieckie. Jeśli jednak nie brać pod uwagę głosów prasy skrajnie prawicowej i nacjonalistycznej, większość gazet i czasopism podeszła do problemu pojednania z Polską poważnie i z dużą dozą odpowiedzialności. Pisało i pisze się o tym wydarzeniu znacznie więcej u nich, niż u nas. Słusznie. Tak być

powinno. Więcej do wyjaśnienia i wytłumaczenia swojej opinii publicznej mają dziennikarze i politycy w NRF, gdzie informacje o Polsce nie zawsze miały charakter obiektywny i sprawiedliwy. Ze teraz pojawiło się tyle wypowiedzi, często pogłębionych i sięgających głęboko w przeszłość, wypada się tylko cieszyć. Zwłaszcza wtedy, gdy głosy te cechuje sumienne podejście do problemu stosunków polsko-zachodniemieckich.

Nasza prasa nie rozpieściła nas nadmiarem szczegółów w czasie trwania rozmów ani później, po ich zakończeniu. W Polsce mamy wielu znakomitych znawców zagadnień niemieckich, a przecież pisali oni mało i jakby z pewnymi zahamowaniami. Jest to po części zrozumiałe. Stosunki polsko-niemieckie obciążone są złą przeszłością i niełatwo przejść nad tym

do porządku. Jeśli w wieku dziewiętnastym mówiono, że „dziennikarze są grabarzami i akuszerami epoki”, to dziś wypadnie rolę tę przekazać politykom, którzy inicjują i realizują nowe stosunki w świecie. Dziennikarze są jedynie świadkami i lepszymi lub gorszymi komentatorami tego, co się dzieje. Może się mylić, ale sądzę, że nasi dziennikarze nie wyzyskali tej szansy jaką dało tak ważne wydarzenie jak parafowanie porozumienia polsko-zachodniemieckiego. Może to zresztą jeszcze nadrobią. Jesteśmy u początku drogi, która może okazać się długa i najeżona wieloma jeszcze trudnościami. Ale trudności są po to, aby je przełamywać jak dowiodły tego rokowania zapoczątkowane w lutym a ukończone w listopadzie br.

Dalszy ciąg na str. 3



Dziś reformy — jutro veto

„NEW YORK TIMES” — NOWY JORK

„Rząd francuski zajął już od dawna stanowisko. Uczynił to w 1959 roku doniosłym głosem generała de Gaulle'a, angażując Francję na zawsze. Powtarzam to tutaj. Uważamy na dziś i na przyszłość ustalenie zachodniej granicy Polski na Odrze i Nysie, w jej obecnym przebiegu, jako fakt bezsporny, jako fakt nieodwracalny”.

Te słowa premiera J. Chaban-Delmasa wypowiedziane zostały w Warszawie, w czasie jego trzydniowej wizyty w Polsce. Wizyta, wypełniona ważnymi rozmowami politycznymi z Władysławem Gomułką, Marianem Spychalskim i gospodarzem — Józefem Cyrankiewiczem, zakończyła się opublikowaniem deklaracji o przyjaźni i współpracy polsko-francuskiej.

Nawiązuje ona do deklaracji sprzed trzech lat, kiedy to w Polsce gościł de Gaulle. Podkreśla, iż obie strony są „bardziej niż kiedykolwiek przekonane o znaczeniu wzajemnej przyjaźni i współpracy”. Dużą część deklaracji zajmują stosunki dwustronne. Jest tam mowa o zadowoleniu z podpisania w grudniu ub. roku umów, które regulują stosunki handlowe między obu krajami oraz współpracę gospodarczą i kooperację przemysłową na najbliższe lata. Obie strony postanawiają pogłębić te kontakty, zwłaszcza w dziedzinach przemysłu maszynowego, elektrotechnicznego i elektrycznego. Stwierdzono również istnienie zadowalających warunków do realizacji polsko-francuskich umów: kulturalnej i naukowo-technicznej.

W części politycznej deklaracji podkreśla się potrzebę utrzymania praktyki prowadzenia regularnych konsultacji w zakresie problemów międzynarodowych, a w szczególności europejskich, oraz wspólnego działania w międzynarodowych organizacjach „na rzecz utrzymania pokoju na świecie”. Deklaracja mówi o wymianie informacji, przedstawianiu i harmonizowaniu poglądów oraz ewentualnym uzgadnianiu inicjatyw.

Rząd polski przyjmuje w tym dokumencie z zadowoleniem oświadczenie premiera Francji złożone 26 listopada w sprawie zachodniej granicy Polski.

Deklaracja zapowiada, że obie strony dokładać będą wysiłków w celu osiągnięcia dalszego postępu w dziele odprężenia w Europie i zapewnienia bezpieczeństwa na naszym kontynencie.

„Wyrażają one — czytamy w tekście dokumentu — swoją wolę ułatwienia współpracy państw europejskich we wszystkich dziedzinach tak, aby przez intensyfikację wzajemnych kontaktów utwierdziła się świadomość tego, co jest wspólne dla tych państw i by mógł być przewyższony podział Europy”.

Końcowe słowa deklaracji nawiązują do wieloletnich więzów przyjaźni, jakie łączą narody polski i francuski i zawierają oświadczenie, że obie strony zdecydowane są jeszcze bardziej je zacieśniać.

Warszawskie rozmowy Chaban-Delmasa (a trzeba zaznaczyć, że jest to pierwsza podróż zagraniczną francuskiego premiera od objęcia przez niego urzędu szefa rządu) odbiły się szerokim echem w prasie europejskiej. W wielu komentarzach podkreśla się wysoką aktywność Polski i Francji w polityce i ich znaczenie w umacnianiu tendencji odprężeniowych. Wydobywa się również słowa francuskiego premiera, try powiezione na konferencji prasowej w Warszawie, że istotnym czynnikiem wzajemnego zrozumienia jest to, iż u steru władzy w obu krajach są ludzie, którzy walczą o wolność swych narodów. Wszyscy zgodni oceniają wizytę jako ważny akt polityczny — o międzynarodowym znaczeniu.

Z innych wydarzeń ostatnich dni zwróćmy uwagę czytelników na wypady lotnictwa amerykańskiego na terytorium Demokratycznej Republiki Wietnamu. Podjęcie ponownie bombardowań oraz próba desantu powietrznego, którego celem miało być odbicie jeńców wojennych — są nowymi przejawami złej woli Stanów Zjednoczonych i nie mogą nie zakłócać poszukiwania dróg pokojowego rozwiązania problemu wietnamskiego. Pierwszym tego wyrazem było zahamowanie rozmów paryskich. Decyzje Nixona wywołały falę krytyki obecnej administracji amerykańskiej. Senator Muskie oświadczył wręcz: „Nie potrzeba nam w Białym Domu prezydenta, a w Pentagonie ministra obrony, którzy chcą wykazać, że są silni”. Opinia publiczna w USA zastanawia się, jakie mogą być następstwa nierozważnej decyzji prezydenta, która przewala „mleczkę porozumienia” z listopada 1968 roku o wstrzymaniu bombardowań DRW.

Z niepokojem przyjęto również doniesienia z Gwineji o inwazji obcych najemników na ten kraj. Sytuację wprawdzie opanowano, lecz niebezpieczeństwo nie minęło. Obecnie w Gwineji przebywa specjalna misja ONZ, która bada okoliczności wydarzeń. O ich przyczynach mówił ostatnio brat prezydenta Sekou Toure — Ismael: „Celem agresorów było utworzenie w Gwineji marionetkowego rządu, oddanego imperializmowi, w skład którego weszłoby niekiedy zdradcy, uwięzieni w roku ubiegłym”.

Nici spisku prowadzą do Portugalii, której — w myśl słów prezydenta Gwineji — pomagały pośrednio inne państwa. Nie zdecydowały się one na powstrzymanie operacji, ale nawet do niej zachęcały. Zamierzano opanować Konakri i uniemożliwić innym krajom afrykańskim udzielenie pomocy Gwineji.

Przegląd bieżących wydarzeń zakończmy przypomnieniem, że na drodze do zwołania ogólnoeuropejskiej konferencji na temat bezpieczeństwa i współpracy uczyniono w ostatnich dniach nowy krok. Jest nim memorandum Finlandii w sprawie konsultacji i spotkań wielostronnych, którego tekst ogłoszony został na łamach codziennej prasy.

W. SLAWSKI

Na przestrzeni ostatnich stu lat, tylko niewiele rządów można by porównać z rządem Nixona, który w zdumiewający sposób łączy obłudne moralizatorstwo z brakiem zasad politycznych. Dziś rząd wypowiada się jak ewangelista Billy Graham, a jutro postępuje jak Machiavelli. Dziś poucza on młodzież, że należy zawsze mówić prawdę, a nazajutrz kolportuje wyrwane z kontekstu „pożyteczne cytaty z wypowiedzi demokratycznych liderów”, aby oczernić opozycję. Dziś oświadcza, że jego dewizą są reformy, ale nazajutrz prezydent Nixon sprzeciwia się jakimkolwiek próbom reformy systemu finansowania kampanii wyborczej w telewizji. A przecież system ten jest godny popamiętania już nawet w samej swej istocie, nie mówiąc o tym, iż jest on również najbardziej skandalicznym zjawiskiem w życiu politycznym naszego kraju.

Republikańskie hasła oraz taktyka mało się różnią od tych, którymi Nixon szermował podczas kampanii przed wyborczej w 1958 roku. Wtedy to prezydent Eisenhower potępił go za to, iż posunął się zbyt daleko w krytyce demokratów, których głosy były niezbędne dla pomyślnego wykonania programu politycznego republikanów.

Nixon przyjął rady Eisenhowera, spuszczać z tonu w swych wypowiedziach, ale za to „przeobraził” się na problemy polityki wewnętrznej. Niemal to samo robi dziś wiceprezydent Agnew: atakuje „demokratów” z tego skrzydła partii demokratycznej, które opowiada się za zmniejszeniem wydatków... oraz „za gwałtowną inflację, do której nieuchronnie prowadzi taki Kongres, w którym rządzi się radykalowie”.

Krótko mówiąc, bezceremonialną kampanię polityczną i w dodatku rości sobie pretensje do przywództwa duchowego. A to całkiem inna sprawa.

Syntetyczny „tyton”?

„DAILY NEWS” — LONDYN

Duży brytyjski koncern tekstylny przygotowuje się do produkcji i wypuszczenia na rynek papierosów... bez nikotyny. Tyton zastępowała by sztuczna celuloza, nasączona aromatycznymi ziołami, dającymi zapach tytoniu.

Temu zamierzeniu sprzeciwili się jednak uczeni. Utrzymują oni, iż produkty spalania „tytoniu” syntetycznego mogą być równie groźne dla organizmu ludzkiego, co z „prawdziwego” papierosa.

Komputery tworzą nazwiska

„CHRISTIAN SCIENCE MONITOR” — BOSTON

W Szwecji brakuje nazwisk. To prawda, że większość Szwedów jest całkowicie zadowolona z nazwiska Anderson (lub Andersson), Johanson (lub Johansson), czy Karlson. Wszystkie te nazwiska cieszą się tradycją na popularnością, ale powodują też kolosalny zamęt w urzędach i przeróżnych innych instytucjach.

Sprawa dojrzała już do tego stopnia, że władze musiały powołać specjalny komitet, który zajął się rozwiązaniem tego problemu. Zgodnie z wytycznymi komitetu, Centralne Biuro Statystyczne zostało zobowiązane do „skonstruowania” nowych nazwisk, używając do tego dwóch komputerów. W konsekwencji utworzono około miliona nazwisk — nowych i oryginalnych, ale, niestety, z elektronicznym... akcentem. Z wielu przyczyn mnóstwo „elektronicznych” nazwisk okazało się nie do przyjęcia. Jednych nie sposób wymówić, inne grzeszą ortografią lub dają bezmyślne kombinacje liter, inne jeszcze są zbyt osobliwe, ordy narne, dwuznaczne lub wręcz nieprzyzwoite. Obecnie ów „komitet nazwiskowy”, w skład którego wchodzi lingwiści i prawnicy, czeka mrówcza praca „przesiania” tej całej masy otrzymanych nazwisk i wybrania z nich 50 tysięcy prostych i nadających się do użycia.

Po wykonaniu tego zadania, nazwiska wybrane i zatwierdzone przez komitet będą opublikowane w specjalnym katalogu. Inicjatorzy nowych nazwisk żywią nadzieję, że jakiś Anderson czy Karlson skorzysta z nadarzącej się okazji i zaopatrzy się w całkiem nowe nazwisko...

Mówca — rekordzista

„TIMES” — LONDYN

W Londynie ukazał się informator p.n. „Polityka w roku 1970”, poświęcony działalności angielskiego parlamentu w okresie od października 1969 r. do maja 1970 r. Informator podaje, iż w tym okresie członkowie Izby Gmin wygłosili 3061 mów. Liczba ta nie obejmuje ani wystąpień, zajmujących mniej niż 10 wierszy

maszynopisu w oficjalnych sprawozdaniach parlamentarnych, ani licznych interpelacji. Najwięcej, bo aż 754 razy, występowali członkowie rządu i tak zwane „pierwsze rzędy” (liderzy opozycji).

Z liczby 630 członków Izby najczęściej zabierało głos 58, a wśród nich tylko

trzech z „tylnych ław” (szeregowi członkowie partyjnych frakcji parlamentarnych).

Mówcą — rekordzistą Izby Gmin został w ubiegłym sezonie konserwatysta Graham Page, obecnie minister do spraw budownictwa mieszkaniowego. Wygłosił on 26 mów!

Jednakże wielu członków parlamentu brytyjskiego wciąż zachowuje milczenie. Składa się na to szereg przyczyn i wcale nie jest najważniejsza ta, że często spiker (przewodniczący Izby Gmin — red.) nie chce im

udzielić głosu. Nieraz starannie przygotowane mowy leżą w koszu na śmiecie, nie tylko dlatego, iż w czasie debaty spiker nie raczył obrócić się w stronę proszącego o głos, ale również ze względów koniunkturalnych.

Zresztą mowy, które wygłaszają członkowie Izby Gmin, mają najczęściej na uwadze tylko jeden cel — znaleźć się na łamach prasy. Widocznie tylko w taki sposób członek parlamentu może przekonać swoich wyborców, że nie wybrali go „na darmo”...

Trening albo śmierć!

„KONKRET” — HAMBURG

13-letnia Kadzuo Jamamoto z Tokio leżała właśnie w łóżku chora na gripę, kiedy wpadły do mieszkania jej koleżanki z tej samej klasy i pobili ją bardzo do tkliwie. Dziewczynkę w stanie ciężkim przewieziono do szpitala — lekarze podejrzewają wstrząs mózgu.

Miała Kadzuo ściągnąć na siebie gniew rówieśniczek, ponieważ przez trzy dni nie brała udziału w treningach szkolnej drużyny basketbalowej.

Nie jest ona w Japonii jedną ofiarą sportowego fanatyzmu, który, z roku na rok, nabiera coraz bardziej cech bezwzględnej terrory.

Wskutek ciężkiego pobicia zmarł 15-letni Itiro Simuma, „ukarany” przez kolegów za rzekomą symulację: nie miał sił na kontynuowanie treningów w rugby, trwa jących po kilka godzin z rzędu.

Studenta Uniwersytetu Tokijskiego, Anio Riosaku, na siłę zapisano do sekcji karate. Wiele razy prosił o wypisanie go z sekcji i przedstawił zaświadczenie lekarskie o złym stanie zdrowia. Na bezpośrednie polecenie trenera młodzi fanatycy dali „leniowi” nauczkę. W konsekwencji bestialskiego po-

bicia Riosaku zmarł wskutek wylewu krwi do mózgu. Policja przyznała, że było to jawne zabójstwo i, nawiasem mówiąc, nie pierwsze już na tym uniwersytecie: dwa lata temu, w tej samej sekcji, w analogicznych okolicznościach został zamordowany 22-letni student.

Członkowie sekcji karate przy Uniwersytecie Tokijskim, przed każdym treningiem powtarzają chórem pięć przykazań członka sekcji. Ostatnie brzmi:

„Będziemy unikać gwałtu i wybuchów gniewu...” Jednakże jak widać, nie przeszkodziło im to w daniu śmiertelnej „nauczki” własnemu koleźce.

W związku z tym gazeta „Japan Times” pisała: „Zabójstwo Riosaku obnażyło wszystkie sadystyczne cechy japońskiego fanatyzmu w jego najbardziej ohydnej formie”.

Sadyzm, ślepe posłuszeństwo, automatyczne wypełnianie nawet najbardziej absurdalnych rozkazów, fanatyczne dążenie do zwycięstw i rekordów za wszelką cenę — oto główne przyczyny fali dzikich rozpraw w japońskich młodzieżowych klubach sportowych.

Wojskowy budżet konserwatystów

„ECONOMIST” — LONDYN

Przedłożony wojskowy budżet rządu konserwatystów uwzględnił trzy główne elementy: zwiększenie wkładu Anglii na NATO; pozostawienie brytyjskich sił obronnych w rejonach „na wschód od Suez”; utrzymanie ogólnych wydatków wojskowych — do 1975 roku — na poziomie nie niższym, niż w bieżącym roku, to jest 2300 mln funtów szterlingów.

Jak widać z tego, minister obrony i jego doradcy nie spełniają obietnic, które konserwatyści składali przed wyborami. Najważniejszą z nich było zapewnienie, iż w Singapurze pozostanie garnizon brytyjski. Spełniono tę obietnicę. W Malajzji utrzymano szkołę wojskową, która przygotowuje żołnierzy do wojny w dżunglach.

Pięć niszczycieli, lub innych jednostek morskich, będzie się stale znajdować w rejonie „na wschód od Suez” (również w Hongkongu). W Singapurze pozostanie batalion piechoty brytyjskiej, a także pewne formacje lotnictwa, w tym również morskie lotnictwo zwia-

downe.

Opracowanie i produkcja nowego typu wszechstronnego samolotu wojskowego wspólny projekt krajów Europy Zachodniej będą kontynuowane. Oprócz tego ze względu na znacznie zwiększoną liczbę eskadr samolotów szturmowych „Jaguar”, stacjonujących w Zachodniej Europie.

Minister obrony zamierza ponadto zwiększyć oddziały rezerwowe wojsk terytorialnych oraz oddziały rezerwy ochotników o dalsze dzieś tysięcy ludzi, a do rezerwy NATO dodać jeszcze jeden brytyjski pułk pancerny.

Konserwatyści zamierzają nadać naszej obronie większy ciężar gatunkowy, niż ich poprzednicy. Naprawdę podobnie zwiększą też nieco pobór do wojska. Konserwatyści wezmą pod uwagę szersze problemy i ich koncepcja zasięgu obrony nie poprzestanie na granicach zachodnich Niemiec.

Sprawność

Skuteczność

Profilaktyka

Dalszy ciąg ze str. 1

faktycznego zagrożenia istotna jest ich ja-kość, ich ciężar gatunkowy. Wyjaśnić trze- ba, iż pod tym względem nie ma powo- dów do niepokoju, bowiem ogólnie — w skali kraju — notujemy tendencję stop- niowego zaniku przestępstw szczególnie- niebezpiecznych. Np. nie notowaliśmy o- statnio — w tym również w Łodzi, rozbo- jów dokonanych z bronią w rękę, nieliczne są też morderstwa dokonane ze szczególnym okrucieństwem i premedytacją. Tymczasem, bardzo często pod określeniem „rozbój” powszechnie rozumie się takie właśnie nie- bezpieczne działania przestępcze.

Dlaczego więc ścigamy sprawców całe- go szeregu drobnych przestępstw? Odpo- wiedź na to pytanie jest jednoznaczna: w odczuciu socjalistycznego społeczeństwa wszelkie działania aspołeczne godzi w in- teresy ludzi pracy i jako takie winno być ścigane i zwalczane. Eliminacja zjawisk społecznie niebezpiecznych jest naszym celem głównym i w tym względzie reali- zujemy wobec społeczeństwa tylko naszą funkcję usługową. Fakt, że stan bezpie- czeństwa w naszym mieście oceniany po- zytywnie, wcale nie oznacza osłabienia tej funkcji.

— Jakże dzielnice i rejony miasta są najbardziej zagrożone z punktu widzenia bezpieczeństwa publicznego?

— Nie można mówić o stałym zagro- żeniu przestępczością jakiejś dzielnicy lub rejonu miasta. Jest to bowiem zależne od wielu czynników, różnie też kształtuje się ona w odniesieniu do poszczególnych ka- tegorii przestępstw. Popularnie określamy to „geografią przestępczości”. Dla przykła- du: w okresie wiosenno-letnim notujemy nasilenie przestępstw, zwłaszcza chuligań- skich, na tzw. „terenach zielonych” — w parkach, okolicznych lasach, ośrodkach wodnych. Natomiast jesień i zima sprzy- jają pewnej koncentracji elementu prze- stępczego w śródmieściu, wokół lokali roz- rywkowych, kin. W tym też okresie, czę- ściej notujemy włamanie i kradzieże, niż np. zgwałcenia.

Wszystkie te elementy ruchu środowiska przestępczego, jak i nasilenie poszczegól- nych kategorii przestępstw, Milicja Oby- watelska uwzględnia w opracowywaniu planów zabezpieczenia terenu. Plany te są- ciągle zresztą aktualizowane na podsta- wie wydarzeń z okresu każdej doby. Poz- wala to maksymalnie wykorzystywać siły, jakimi dysponujemy, właśnie w miejscach, które na podstawie dokonanej analizy u- znane zostaną za zagrożone.

— Mimo energicznej walki MO z chu- liganstwem społeczeństwo naszego miasta jest zdania, iż należałoby ją zaostrzyć. Czy Łódzka Milicja Obywatelska podziela tę opinię?

— W tym miejscu wrócę do pytania pierwszego, gdzie mówiłem o społecznym zapotrzebowaniu na interwencję MO. Trud- no sobie wyobrazić stan idealny w tym względzie, ponieważ zawsze zostaje pe- wien margines spraw, gdzie z przyczyn obiektywnych nie jesteśmy w stanie in- gresować. Wzrost naszych zadań w tym za- kresie obrazuje choćby właśnie ilość in- tencji. W stosunku do roku 1969 wzros- ła ona dwukrotnie, co oznacza, iż objęliś-

my swym działaniem kilkadziesiąt tysię- cy spraw konfliktowych więcej.

Zgadzam się z sugestią, że walkę z chu- liganstwem należy zaostrzyć. Wyrażam jednak pogląd, że represja nie jest jedy- nym środkiem tej walki. W wielu przy- padkach społeczne potępienie chuligana, zdecydowana reakcja obywatela są bar- dziej skutecznym środkiem. Odbiera to chuliganowi pewność i zmusza go do pod- porządkowania się ogólnie przyjętym za- sadom współżycia społecznego. Tylko kon- frontacja ze zdecydowaną reakcją orga- nów Milicji Obywatelskiej i społecznym potępieniem może doprowadzić do likwi- dacji przestępstw o charakterze chuligań- skim. W naszych statystykach odnotowa- liśmy w bieżącym roku wzrost wystąpień chuligańskich. Ale ma to związek, między innymi, właśnie z intensyfikacją działań Milicji, bowiem te przypadki, które do- tychczas nie były notowane, teraz dzięki zwiększeniu liczby patroli są automatycz- nie ujawniane.

W naszej wielokierunkowej działalności walka z chuliganstwem będzie nadal zaj- mować jedno z naczelnych miejsc i abso- lutnie nie może być mowy o jej zlagodze- niu.

— Z jakich środowisk pochodzą prze- stępcy?

— Pytanie to upraszcza nieco problem pochodzenia przestępcy. Słuszniej byłoby zapytać: „Skąd bierze się przestępca?”. W społeczeństwie socjalistycznym nie ma i nie może być miejsca na takie krymino- genne czynniki, jak niedza i ciemnota warstw najniższych. Dlatego też w tym społeczeństwie rodzą się niepokojące py- tania w rodzaju tego, jakie mi zadano. Je- żeli w uporządkowanym społeczeństwie rodzi się przestępca, to gdzie należy szu- kać jego rodowodu? Z całą pewnością nie można twierdzić, że przestępców dostar- cza ktoś ze środowisk społecznych. Da- ne socjometryczne ponad 3 tysięcy ujaw- nionych w roku 1969 na terenie m. Łodzi sprawców przestępstw wykazały ich przy- należność do różnych grup społecznych. Od robotników do inteligencji. A przecież- stosunki socjalistyczne nie tworzą klima- tu, w którym rodziłyby się czyny aspo- łeczne. Jakże więc przyczynę wpływają, że jednak takie czyny mają miejsce?

Nie można oczywiście pominąć tu roli anomalii w psychice człowieka, aczkol- wiek nie ujmuje to nic z wagi czynników społecznych. Każda reglamentacja społec- na wymaga od członków społeczeństwa zdyscyplinowania, podporządkowania się określonym nakazom i zakazom. Tymcza- sem zdarzają się w życiu człowieka oko- liczności, które pchają go do łamania spo- łecznej dyscypliny. W pierwszej fazie, że- użyje tego określenia, zaliczyć by można do nich brak należytej opieki rodziciel- skiej. W wielu przypadkach spowodowane jest to po prostu brakiem czasu, w innych wynika z niewłaściwego trybu życia ro- dziców. A nie wszystkie walory wychowa- nia domowego zastąpić można wychowa- niem instytucjonalnym, choćby ze wzglę- du na brak możliwości.

Ulatwiony start życiowy młodych ludzi, jaki stwarza im ustrój socjalistyczny, w wielu przypadkach jest pojomywany o- pacznie, jako coś nalezego, co wynika z

Dokończenie na str. 9

Dalszy ciąg ze str. 1

Najważniejszą częścią układu jest punkt pierwszy o uznaniu przez NRF granicy na Odrze i Nysie za ostateczną i nienaruszalną. Negocjacje dotyczące formuły granicznej trwały najdłużej, ale rezul- tat jaki osiągnięto zadowala stronę polską całkowicie. Rząd NRF nie miał innego wyjścia, jak uznać to, co od 25 lat jest faktem. Kanclerz Willy Brandt i minister spraw za- granicznych Walter Scheel okazali się realistami politycznymi, ludźmi mądrymi, którzy mają poczucie czasu historycznego. Mimo całego wrzasku opozycji, społeczeństwo zachodniemieckie przyjęło układ z Polską, jako akt ważny, otwierają- jący doniosły okres w stosunkach między obu państwami. Zresztą i opozycja, jak wiadomo, wcale nie jest jednolita i nie wypracowa- ła (jak dotychczas) tzw. wspólnego

korzyść i nie mogło być inaczej. Ogromne znaczenie polityczne i- psychologiczne miało tu nasze pol- skie stanowisko i stanowisko na- szych sojuszników: bezkompromi- sowe i jasne od samego początku.

Czy z faktu zawarcia układu wy- nika, że mamy zapomnieć o prze- szłości i już do niej nie wracać? Nie sądzę i chyba nikt tak nie są- dzi. Zapomnieć o zbrodniach hitle- rowskich byłoby zbrodnią wobec ogromu ofiar, które oni popełnili. Pojednanie nie równa się zapome- niu tego, co się stało. Świat nie wykreślił ze swej historii tych strasznych cierpień, których spraw- cami byli Niemcy Hitlera. Ale też nikt, kto rozsądny, nie obarcza za- te zbrodnie całego narodu niemiec- kiego. Można i należy ubolewać, że tak znaczna część społeczeństwa niemieckiego poparła dążenia Hitle- ra. Dla badaczy historii Niemiec nie ulega wątpliwości fakt następu- jący: w dziejach naszego zachod-

POLSKA-NRF

stanowiska. Toczące się bodaj od tygodnia obrady CDU nie doprowa- dziły do uzgodnionego stanowiska w sprawie parafowanego w War- szawie układu. Młodzi członkowie niemieckiej partii chrześcijańskiej opowiadają się za uznaniem ukła- du, inni uważają, że należy pozos- tawić posłom swobodę głosowania w parlamencie gdy dojdzie do ra- tyfikowania porozumienia z Pol- ską. Oczywiście najbardziej nie- przejednana jest partia Straussa, który w walce z przeciwnikami nie przebiera w środkach, mając się najgorszych nawet metod i spo- sobów, jak przekupstwa, insynua- cji i awanturnictwa. Ale i on mu- siał (nie bez zdumienia) stwierdzić, że zplenawidzona przez niego Par- tia Wolnych Demokratów, której- przewodnił Walter Scheel, okrę- piła po wyborach w Hesji i Bawarii. A dodajmy, że wybory w Ba- warii odbywały się w cztery dni po zakończeniu rozmów w Warsza- wie, czyli że parafowanie układu nie tylko nie osłabiło Partii Wol- nych Demokratów (FDP), lecz prze- ciwnie: wzmocniło ją i to znacz- nie.

Granicę na Odrze i Nysie świat od dawna uznawał za ostateczną. Podkreślił to zaledwie przed parą- ma dniami, podczas wizyty w Pol- sce, premierem rządów francuskiego Chaban-Delmas, przypominając sło- wa generała de Gaulle'a o ostatecz- nym charakterze granicy na Odrze i Nysie. Nawet nasza emigracja, tak zazwyczaj skłócona, w sprawie zachodniej granicy Polski zajmo- wała i zajmuje stanowisko jasne i niedwuznaczne. Od lat gromadzę wycinki z prasy zachodniemiec- kiej na tematy polskie. Sporo w tych wycinkach materiałów o na- szej zachodniej granicy. Natural- nie są tam głosy różne: za i prze- ciw. Ale rzecz charakterystyczna, że w miarę upływu czasu zwięk- szała się ilość głosów za uznaniem Odry-Nysy jako zachodniej granicy Polski. Czas działał na naszą

niego sąsiada ścierały się zawsze- dwie podstawowe tendencje: demo- kratyczna i nacjonalistyczna. Czę- ściej, zwłaszcza w ostatnim stule- ciu, dochodził do głosu nacjona- lizm. Ale nigdy nie zabrakło w Niemczech ludzi walczących z ro- dzimym ekstremizmem politycz- nym, którzy szli do więzień, na- tułaczki, do obozów, na barykady, niezłomni w swoich przekonaniach i dążeniach wolnościowych. Nie- brak również w historii Niemiec- kiej głosów Polsce przyjaznych. O Pol- skę niepodległą upominali się w wie- ku dziewiętnastym Marks i Eng- els, Stein i Elchendorf, a jeszcze- wcześniej Johann Gottfried Her- der, filozof, pedagog i pisarz, i wie- lu, wielu innych, którzy popierali- dążenia wolnościowe Polaków. Mo- że dobrze będzie przypomnieć w tym miejscu fragment z listu do- matki Maurycego Mochnackiego, napisanego 14 stycznia 1832 roku, który uchodząc po upadku powsta- nia listopadowego na emigrację znalazł się na pewien czas w Niem- czach. Oto, co pisze znakomity autor: „Niemcy na rękę nas no- sili. Gdyby: był chciał, byłiby- mnie wzbogacili jak Krezusa; i nie- potrzebowałem pieniędzy i od- wszelkich wymówień się darów, które dumie wygnańca, dobremu tonowi tułacza uwłaczają. Ober- żyści na drodze nie chcieli rachun- ku podawać. Polacy tak wszyst- kich interesują, że aby nie być ce- lem ciekawości i utrudzających py- tań, w Niemczech udawałem Fran- cuzka, a we Francji Niemca”.

Dziś w NRF nastąpiła próba na- wiazania do jaśniejszych momen- tów w stosunkach niemiecko-pol- skich. Od rządu, społeczeństwa i- wszystkich sił postępowych w tym kraju zależy jak potoczą się dal- sze losy rozpoczętego procesu po- jednania. A jest ono potrzebne Niemieckiej Republice Federalnej, Polsce, Europie i światu.

JAN KOPROWSKI

ANDRZEJ DZIERŻANOWSKI

Pospolite ruszenie

RAZ NA DZIESIĘĆ LAT JESTEŚMY LI- CZENI W SPOSÓB NIEMAL ODŚWIĘ- NY, UROCZYSTY, A PRZY TYM GENE- RAŁNY. LICZY NAS WTEDY — NAS, TO ZNACZY BLISKO 33 MLN. POLA- KÓW, 200 TYS. RACHMISTRZÓW SPI-

SOWYCH. NARODOWY SPIS POW- SZECZNY MOŻNA ŚMIAŁO PORÓW- NAĆ DO WIELKIEGO NARODOWEGO REMANENTU.

W tytule nie ma żadnej przesady. Spis musi być pospolitym ruszeniem, będziemy przy nim zaangażowani wszyscy. Nikt nie może być pominięty. Inaczej bowiem spis nie osiągnąłby zamierzonych celów. Nie dostarczyłyby danych, stanowiących ma- teriał do wytyczenia wielu perspektyw- nych zamierzeń naszej gospodarki. Narodo- wy Spis Powszechny jest największym w kraju przedsięwzięciem statystycznym. We- wszystkich państwach podstawowym na- rzędziem prawidłowej polityki gospodar- czej i socjalnej są obiektywne, wyczerpują- ce i szybko dostarczane informacje sta- tyczne. Uzyskuje się je przy pomocy skomplikowanych nieraz systemów ewi- dencji i sprawozdawczości, a także — jak w Polsce — od terenowych koresponden- tów Głównego Urzędu Statystycznego. Pewne jednak dziedziny życia nie mogą być badane w ten sposób. Bez spisu nie- możliwe jest określenie szczegółowej struk-

tury ludności według wieku i płci, uzyska- nie informacji o aktywności zawodowej i- miejscu zamieszkania, warunkach mieszka- niowych, czy szczegółowych problemach indywidualnych gospodarstw rolnych. Z- dotychczasowej praktyki i obserwacji, po- czynionych tak w kraju, jak i za grani- cą wynika, iż podstawowe znaczenie i wa- ga spisów powszechnych polega na tym, iż są one jedyną formą badań statystycz- nych dla uzyskania szeregu niezbędnych danych dla gospodarki narodowej w uję- ciu krajowym, jak i terenowym.

Dane te — zdaniem prof. dr Wincentego Kawałca, prezesa Głównego Urzędu Sta- tystycznego i zarazem Generalnego Kom- sarza Spisowego — wynikają z takich po- trzeb, jak:

■ sporządzanie bilansów siły roboczej, wytyczenie polityki zatrudnienia i szkole- nia, określenie lokalizacji nowych zakła- dów pracy, punktów sieci handlowej, za- kładów usługowych, szkół, urządzeń so- cjalnych, planowanie rozbudowy sieci ko- munikacyjnej itd.

■ ustalanie polityki mieszkaniowej, bu-

dowlanej, modernizacji budownictwa, re- montowej, planów zagospodarowania prze- strzennego, planów produkcji i dystrybu- cji materiałów budowlanych itd.

■ wytyczenie polityki rolnej, polityki inwestycyjnej, planów modernizacji i za- opatrzenia rolnictwa itd.

Tak więc Narodowy Spis Powszechny- dostarczy kompletnych informacji, nieo- dzownych do dalszych ocen w zakresie po- trzeb i warunków, możliwie wszechstron- nego, rozwoju naszej gospodarki w której- czynnik ludzki odgrywa podstawową ro- lę. Zasadniczą korzyścią spisu będzie osią- gnięcie solidnej podstawy do nowych, na- bardziej efektywnych ocen perspektyw roz- wojowych społeczeństwa i możliwości bar- dziej operatywnego zarządzania potęgą- łą ludzką i przemysłowo-rolniczym. Wyniki spisu pozwolą na urealnienie no- wych koncepcji, stworzenie możliwości o- pracowania nowych modeli rozwoju spo-

Dalszy ciąg na str. 4

Z „Dziennika“

Palermo 15. V. 50.

Miasto palm, fontann i barokowych budowli. Doskonała harmonia wodotrysków, zieleni i architektury. Woda, co się przelewa w marmurowych korytach i pal mowe oazy rozkwitła na skwerach są barokowej natury. A pałace i kościoły mają w liniach, kształtach i ozdobach niepokój i płynność wody oraz bujność egzotycznej roślinności. Wszystko tu orientalne w naturalny sposób i na rodzimą modłę.

Koło południa zaszedłem do katedry. Po nabożeństwie wierni przystępowali do ołtarza, żeby ucałować relikwie św. Rozalii, patronki miasta. Ksiądz ubrany w bogate kościelne szaty podsuwał wiernym pod wargi srebrny relikwiarz. Pocałunek to

symboliczny. Dotykają ustami tylko szkiełka, za którym znajduje się kosteczka świętej pustelnicy. Czysta poezja! Anatomiczna pars pro toto — zamiana okruszka kostnej tkanki na przebóstwioną aktem wiary osobą świętej patronki.

W pewnej chwili tłum się rozstąpił, formując jakby szpaler. Dwóch wiejskich osiłków prowadziło pod rękę młodą i bladą kobietę w czerni. Ni stąd ni zowąd przypomniał mi się przewrotnie wiersz Teofila Lenartowicza:

„A owe święte dalej ją wiodą
Pod obie ręce jak pannę młodą“.

Jak było widać, prowadzono kobietę gwałtem do ołtarza. Broniła się, szarpała i wyrywała. Wydawała dzikie, chrapliwe okrzyki.

— Opętana! — szepnęła stojąca obok mnie gruba i bardzo obficie ubrana matrona, choć dzień był ciepły.

— Opętana?

— Jak tylko biedaczka pocałuje święte relikwie, diabeł natychmiast da od niej drapak — dodała wyjaśniająco inna, wysoka i kościasta jeźmięca.

Parobczaki z trudem dowlekli nieszczęsną do pierwszych stopni ołtarza. Dalej nie chciała iść. Ksiądz zbliżył się i wyciągnął ku niej relikwiarz. Wtedy z ust obłąkanej dobył się przeraźliwy wycisk. Skreśliła się raptownie i wywinęła z ramion zaskoczonych opiekunów. Z krzykiem triumfu pobiegła do drzwi jak szalona. Tlum stał oniemiały i nie zagroził jej drogi.

Dopiero po chwili zakotłowało się w katedrze. Zaczęły się szept i szemrania. Ludzie wydziwiali i gorszyli się tym, co się stało. Ksiądz postawił na ołtarzu relikwiarz i wezwał wiernych do modlitwy. Zaintonował jakąś pieśń. Podchwyciła ją parę nikłych kobiecych głosów i pieśń się wkrótce urwała. Wierni szumieli jak poruszone w ulu pszczoły i rozplywali się gromadkami ze świątyni.

— Come e forte il diavolo! (Jaki mocny jest szatan!) — szepnęła jakby z uznaniem teża i bardzo obficie ubrana matrona, wiosenny dzień ubrana, matrona.

Przypomniało mi się z dzieciństwa pewne opowiadanie mej babki. Nawiązując do tego wspomnienia, rzekłem do mych sąsiadek:

— A może to tylko ksiądz był słaby? Babka jako mała dziewczynka poszła z rodzicami na pielgrzymkę z rodzinnej wioski pod Włocławkiem, która nazywała się Kawka, do słynącej cudami Matki Boskiej w Skepem, po drugiej stronie Wisły. W czasie odpustu w święto Wniebowzięcia młody ksiądz, mający opinię świętego, wypędzał diabła z opętanej dziewczyny. Babka powtarzała dokładnie dialog, jaki prowadził zły duch ustami opętanej dziewczyny ze świętym egzorcystą.

Szatan wypominał swemu nieprzyjacielowi wszystkie najbardziej blahe i tajne przewiny, o których nikt z obecnych nie wiedział. Ksiądz pokornie się przyznawał, żałował i kajał za każdy przypomniany występki. Diabeł wyraźnie osłabł. Opę-

tana klęka. Ksiądz położył jej obie dłonie na głowie i szeptał łacińskie wyrazy. Naraz dziewczyna się zerwała i wybuchnęła szyderczym śmiechem:

— A pamiętasz, jak wracając wieczorem z kościoła zerwałeś strąk grochu z pola sąsiada?

— Zerwałem, to prawda. Wróciłem jednak po chwili i odniosłem ten strąk. Położyłem go na między przy polu sąsiada.

— Ale ten strąk już nie przyrósł do swej łodyżki! Usechł i zmarniał!

— Cały tydzień potem spałem na zimnej polepie w izbie i płakałem po nocach.

Dziewczyna upadła na ziemię i zaszlochła łzami radości. Szatan porzucił swoją ofiarę, bo ksiądz był święty! Tak kończyła babka swą opowieść z pielgrzymki do Skepego.

Do tego opowiadania, zapamiętanego z dzieciństwa, nawiązywała moja refleksja, którą podzieliłem się ze swymi sąsiadkami w katedrze:

— A może to tylko ksiądz był słaby? W opowiadaniu babki wstrząsnęła mną głęboko i zapadła w dziecięcą pamięć na całe życie owa niezwykła replika szatana. Zerwany i po chwili opamiętania odniesiony na pole strąk grochu, nie przyrósł już do swej łodyżki. Usechł i zmarniał. Dużo czasu upłynęło, zanim zrozumiałem, że żadnego czynu nie można cofnąć ani naprawić. Możemy jedynie żałować, że coś się za naszą sprawą stało. I nic więcej.

MARIAN DRACZYŃSKI

Zeromski i teatr

Twórczość Stefana Żeromskiego fascynuje do dzisiaj. Wobec pięknej prozy pisarza traci swą ostrość dwudziestowieczny sceptycyzm. Możemy zachwycić się Hemingwayem, Faulknerem i Moravią, ale w ostatecznym rachunku Żeromski zwycięża — jest przecież symbolem sumienia narodu. Trochę inaczej przedstawia się sprawa jego działalności dramatopisarskiej. Przyjęło się uważać dramaty Żeromskiego za margines twórczości. W czasie i przestrzeni giną realizacje sceniczne jego tekstów. Z konglomeratu myśli pisarza z inscenizacyjnymi poczynaniami reżyserów pozostają jedynie rozproszone po czasopiśmie felietony i recenzje. Na szczęście sytuacja już się zaczęła zmieniać. Lukę w naszej wiedzy o związkach Żeromskiego ze sceną wypełniła monografia pióra Wojciecha Natanson. — Czy autor odpowiedział na wszystkie pytania, jakie nur tuja koneserów teatralnego kunsztu? — Odpowiedź nie jest prosta. Przed jej sformułowaniem przyjrzyjmy

się bliżej dziełu! Książkę rozpoczyna wstęp, w którym wybitny krytyk ukazuje rodzenie się największej miłości przyszłego pisarza. Zamieszczono tutaj informacje o pierwszych próbach sceniczych, takich jak: „Janusz i Marta“, „Barbara Giżanka“, „Dla jutra“. Dojrzałą twórczość dramatyczną Żeromskiego omawia Natanson w zasadniczej części pracy. Poświęca każdemu utworowi jeden rozdział monografii. Autora interesują dwie sprawy: — problematyka i inscenizacja. Pierwsze zagadnienie zostało opracowane wyczerpująco i ciekawie. O zastrzeżeniach jeszcze napiszę! Z żalem natomiast muszę zaznaczyć, że wielbiciele teatru odczują pewien niedosyt. Za mało w pracy informacji o prowincjonalnych premiach dramatów Żeromskiego. Jako łodzianina boli mnie lakoniczność wzmianek o przedstawieniach „Róży“, „Grzechu“, „Białej rekawiczki“ w grodzie nad Łódką. Wojciech Natanson, z wykształcenia historyk literatury, koncentruje swą uwagę na problemach filologicznych i filozoficznych.

Omawiając związki Żeromskiego z teatrem ogranicza się do zaprezentowania inscenizacji współczesnych i twórczości Osterwy. Pamiętamy jednak, że nie od razu Kraków zbudowano. Poza tym położenie akcentu na zawartości myślowej ma strony dodatnie. Książka Natanson może uchronić przyszłych inscenizatorów sztuki Żeromskiego od ewentualnego zlekceważenia zasadniczych tez zawartych w utworach. — Cóż można na piśmie o ujęciu problematyki? — Wojciech Natanson zwraca uwagę na sprawy sądnicze, wątpliwości można mieć tylko odnośnie szczegółów. Przy utworze „Ponad śnieg bielszym się stanie“ nieco pobieżnie zostało potraktowane zagadnienie ekspiacji. Warto byłoby podkreślić jego dziewiętnastowieczny, romantyczny charakter, wykazać analogie i różnice (Bohaterowie romantycy próbują zmasować swe winy ofiarą krwi — Rudomski czyste sumienie chce ku pić i wyzbroić). Szkoda też, że przy omawianiu dramatu „Uciekła mi przepióreczka“ nie uwzględniono danych biograficznych. Dzięki nim bardziej zrozumiałaby byłby przełomowy charakter sztuki, pisane w ostatnich latach pracowitego życia Stefana Żeromskiego. Pracując nad tym utworem pisarz uświadamiał sobie bezowocność społeczną dotychczasowej twórczości. Z pełną świadomością ograniczył za kres działania bohatera do spraw nauki i oświaty. Tylko w tej dziedzinie zacho-

dziła możliwość dokonania zmian. Ze wspomnianych wyżej powodów w „Przepióreczce“ pojawiają się uczucia dawniej Żeromskiemu obce: — świadomość ludzkiej bezsilności, zwątpienie, rezygnacja. Pisarz o „sercu nienasyconym“ przysnął i stracił, na rzecz sceptycyzmu, dotychczasowy entuzjazm. Zdołał się nawet na krytykę swoich idei. Nie mają większego znaczenia intencje prezentacji polemicznej stanowiska, istotny jest sam fakt. Muszę jeszcze zaznaczyć, że w dramacie „Uciekła mi przepióreczka“ w większym, niż zwykle, stopniu występują formy komiczne: dowcip, ironia, sarkazm. Jednocześnie znikł tu patos i przyjechała zbyt natrętna liryka. I właśnie dlatego z wszystkich utworów Żeromskiego, „Przepióreczka“ jest nam najbliższa.

Czas powrócić do spraw ogólnych, zastanowić się nad miejscem pisarza we współczesnym teatrze! — W pracy Natanson można znaleźć wiele informacji o wartościach odkrytych w „Róży“, „Turoniu“, „Przepióreczce“ przez dawnych i współczesnych reżyserów. Ale czy to już wszystko? — Może warto by przeanalizować didaskalia, które zawierają bardzo istotne elementy wizji dramatycznej Żeromskiego. Wydaje mi się też, że autor monografii nie sformułował ostatecznych wniosków. Zakończenie pracy zostało potraktowane zbyt eistycznie. Oczywiście, życie przekreślił jeszcze niejedną opinię, nie o



Andrzej Grun: „Twarze“ grafika.

znacza to jednak, że nie na gą do Teatru“. Naprawdę leży ich wypowiedzi. Na za kończenie powyższych uwag gorąco zachęcam czytelników, by zapoznali się ze „Stefana Żeromskiego dro- gą do Teatru“.

Wojciech Natanson: Stefana Żeromskiego droga do teatru.

Pospolite ruszenie

Dokończenie ze str. 3

lęcznego i gospodarczego, modeli perspektywicznych, dostosowanych do wymogów nowoczesnych metod planowania kompleksowego.

W tym między innymi celu, do formuł rzy spisowych zostały wprowadzone nowe pytania, jakich w poprzednich badaniach nie było. Przy okazji: tegoroczne formularze zapewnią zdobycie o ok. 30 proc. informacji więcej, niż pozyskiwano w dotychczasowych spisach w Polsce. Nowe pytanie skierowano do kobiet w wieku poniżej 70 lat o liczbie i kolejności urodzonych dzieci. Badania te zostaną przeprowadzone jedynie w 5 proc. obwodów spiso-

wych, które w tym wypadku stanowią swego rodzaju reprezentację dla całej zbiorowości. Uzyskane odpowiedzi pozwolą na opracowanie prognoz dalszego rozwoju liczby ludności. Ma to bardzo ważne znaczenie obecnie, kiedy tempo przyrostu ludności w Polsce, w porównaniu z latami poprzednimi, stale maleje.

Do nowych zagadnień należą również takie sprawy, jak powierzenia mieszkań, niektóre dane o instalacjach i cechach technicznych budynków, cechach budynków zajmowanych przez gospodarstwa zbiorowe, jak internaty, domy studenta, klasztor. W poprzednich spisach nie pytano również o miejsce urodzenia, kierunku wykształcenia, a także nie zbierano informacji o grupie społecznej, czy też do których gospodarstw domowych i rodzin.

Nowe pytania odniesiono do indywidualnych gospodarstw rolnych. Chodzi tu o dane o rodzajach budynków i pomieszczeń gospodarczych, ich powierzchni, cechy techniczne itd. Warto dodać, iż spis budynków gospodarczych został przeprowadzony w czerwcu br. Wstępne wyniki tego badania zostały już ogłoszone dwa miesiące temu. Teraz trwa opracowywanie szczegółowych rezultatów ostatecznych.

2.

Spis będzie charakteryzował się trzema cechami: powszechnością, bezpośredniością i imiennością. Powszechność jego polega

na tym, iż obejmie on całą ludność w Polsce, wszystkie zamieszkałe budynki i mieszkania oraz wszystkie indywidualne gospodarstwa rolne. Bezpośredniość zaś to, iż rachmistrze dotrą do każdego mieszkania i zbiorą informacje o ludności, mieszkańcach, budynkach i gospodarstwach rolnych bezpośrednio u źródła. Zasada imiennosci stosowana jest dla osiągnięcia pełnej kompletności danych i realizowana będzie w ten sposób, iż każdy poda swoje imię i nazwisko, każde mieszkanie i budynek, będą opatrzone w formularzu spisywanym dokładnym adresem itd.

3.

Data spisu została ustalona na godzinę 24. z 7 na 8 grudnia. Jest to tak zwany przez statystyków moment krytyczny. Osoby urodzone po godz. 24 w dniu 8 grudnia nie będą już figurować w spisie. Skoro ma on dostarczyć rzeczywistych informacji i ma dać swego rodzaju fotografię społeczeństwa w pewnym określonym momencie, przyjęcie terminu krytycznego jest konieczne. Ludność naszego kraju ulega bardzo szybkim przekształceniom. Wystarczy powiedzieć, iż średnio co minutę jeden Polak przychodzi na świat, a co dwie minuty inny umiera. Data spisu zabezpiecza więc kompletność danych i ich jednolity obraz.

Termin pospolitego ruszenia nie został wybrany przypadkowo. Okazuje się, iż początek grudnia jest okresem, kiedy je-

steśmy najmniej ruchliwi. Rzadko wtedy wyjeżdżamy poza teren swojego miejsca zamieszkania. Najłatwiej nas zastać w domu. Ponadto wydano odpowiednie zalecenia, aby w okresie spisu nie były organizowane wyjazdowe konferencje, narady itd. Wszystkie poprzednie spisy powszechne których w Polsce było ogółem pięć (dwa przed wojną, trzy po wyzwoleniu) również organizowano w grudniu. Ostatni spis rozpoczął się 6 grudnia 1960 r.

Organizacja Narodów Zjednoczonych za lecia, aby spisy ludności odbywały się w latach zakończonych zerem. Podobne zalecenia wydała także Komisja Statystyczna RWPG. W skali międzynarodowej dane statystyczne, po porównaniu i podsumowaniu, pozwalają odpowiedzieć na wiele pytań: ile jest ludności na świecie, ilu mężczyzn, a ile kobiet, ile dzieci w wieku szkolnym, ile osób mieszka w mieście, a ile na wsi itd. W tym roku spisy powszechne zorganizowano już w Związku Radzieckim, Stanach Zjednoczonych i na Węgrzech. W najbliższym czasie odbędą się one w prawie 180 różnych krajach.

4.

Spis jest przedsięwzięciem wręcz gigantycznym. Przygotowania do niego trwały od 1966 roku. Wtedy to rozpoczęto ustalać program i założeń organizacyjnych. Oparto je o opinie i wnioski wielu resortów, prezydów rad narodowych i przedstawicieli nauki. Praktycznym sprawdzianem przyjętych założeń i programu był spis próbny przeprowadzony dwa lata te

Łódź rolnicza

ŁÓDŹ — wieś dóbr niesukowskich Kapituły Włocławskiej wyrastała w bruzdzie doliny wyżynnej piotrkowskiej, w obramowaniu zielonych lasów, gęstwą nieprzebytych i mrocznych ostępów poprzetykanych.

Wieś, przywilejem erekcyjnym króla Władysława Jagiełły do praw miasta podniesiona w roku 1423 nie tworząca była wiekami, gromadząc budynki, obronny murami otoczona, jak inne miasta polskie. Patyna wieków nie pokrywała ani masyżnych dachów szacownych budowli sakralnych, ani zamku, ani też murowanych mieszczkańskich domów — choćby dlatego, że kościółek łódzki i domy jego parafian z drewna stawiano, kościół gontem a domy miejskie słomą kryte były.

Miasteczko rządzone było przez Wójta z ramienia „Nayaśnieszey Infuły, Jaśnie Wielmożnego Księdza Biskupa, Pana Miłościwego Miasta Łodzi”. Biskupowi przysłu giwało prawo dysponowania miasteczkiem, zastawiania go nawet, jako gwarancji zwrotu zaciągniętej przez siebie pożyczki.

Przywilejem biskupa Macieja Drzewieckiego, z roku 1531, ustalono w miasteczku sołectwo na prawie niemieckim, nadając mu władzę sądowniczą w sprawach mniejszych i ważniejszych, z prawem wydawania wyroków skazujących na śmierć przez ścięcie głowy lub okaleczenie. Wyrok nabierał mocy, gdy podejmowano go w obecności przedstawiciela Kapituły, aby zgodnie z prawem był wydawany. Z czasem zakres władzy Wójta zmniejszał się na rzecz Burmistrza i Rajców, w mieście powołanych. Przewody sądowe i korespondencja dotycząca dóbr Kapituły Włocławskiej pozwalają spojrzeć na życie naszych przodków, a życie to może dać kanwę, dla nakreślenia niejednej opowieści o tych latach dawnych.

Miasteczko było rolnicze, z niewielką ilością rzemiosła, przy tym warzelni piwa i okowity. W roku 1572 uległo pożarowi — „jako Pan Bóg raczył nawiedzić pogorzela miasteczko „Łodzią”, tak bowiem zanotowano w aktach, które też mówią o szybkim jego odbudowaniu, na co Kapituła drzewo z puszczy pobrać zezwoliła. Prężni więc i gospodarzni byli mieszczanie. Pan Bóg błogosławił i w dobytku, i w rodzinie, dając mocnych synów i dorodne córki. Na dorodność białogłwów lasy był dzie dziec z pobliskich Stoków. Przybyły do miasteczka biskup wysłał w roku 1591 gromadnych skarg, zarówno mieszczan jak i okolicznych chłopów i ukarał szlachetca Jaśnie Wielmożnego Stokowskiego „za nierząd, niesprawiedliwość i krzywdy poddanyom wyrządzone, zalecając dom jego rozpuszty zburzyć i z ziemią zrównać”.

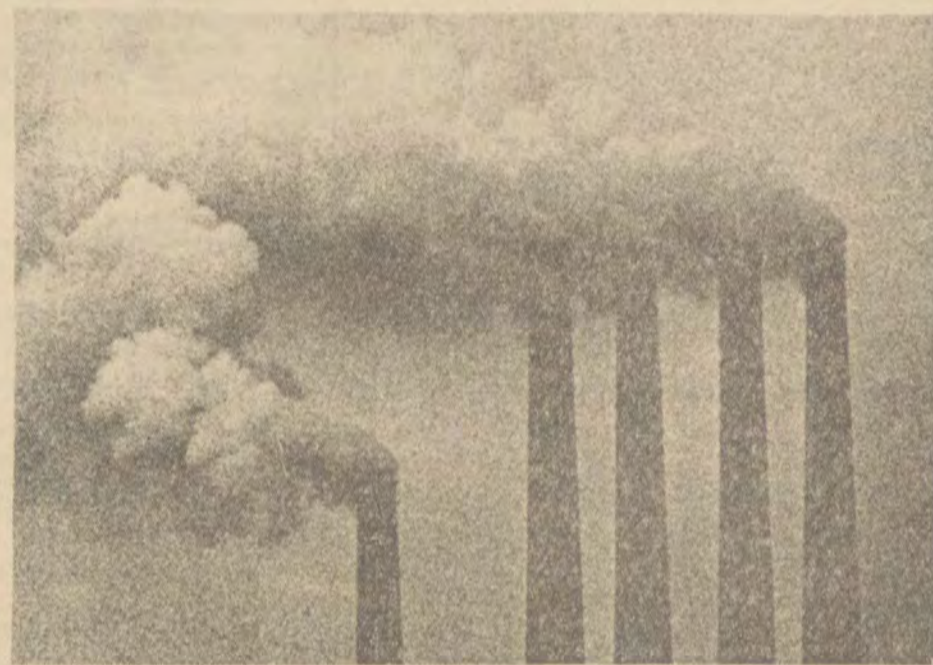
Przed sądem miejskim toczą się publicznie i sprawy o herezje religijne a w rozprawach tych bierznie udział też i „pospółstwo”, które na zarzuty reaguje silnie a bro niąc oskarżonych powoduje oczysz

czenie ich od win. Jest to połowa XVI wieku, procesy te być więc mogą odbłaskiem Reformacji lub arikańskich wpływów. Stąd pewnie i upadek przywiązania do kultu religijnego, odprawianego w kościółku katolickim, co stwierdza biskup Hieronim Rozdrażewski, w przybyciu do Łodzi celem udzielenia wiernym sakramentu bierzmowania. Zauważył on wielki nieporządek w miasteczku a nawet „w tamtejszym kościele, z którego wypędać musiał liczne kury, swo bodnie sobie łażące po miejscu świętym”.

Nie dbając o przybytek święty niewiele też mieszczanie dbać mu sieli i o zbawienie wieczne, kiedy ksiądz wizytator, z ramienia Kapituły, takie składa w roku 1633 sprawozdanie: „dobroczyńca kościółka przez złodzieja w nocy nik-

EUGENIUSZ AJNENKIEL

Jaka ongiś byłam



czemnie zamordowany został. W miasteczku sześciu mieszczan nie spowiadało się, a niejaki Jakób Rogowski od lat wielu. Są tam ludzie skandaliczni i wszyscy upijają się a stąd liczne między nimi swary. Napomniałem serio burmistrza i mieszczan, aby więcej tego nie czynili”. Gdy napomnienia skutku nie odnosiły postarano się o przykłady grozy. W aktach miejskich notowane są sprawy sądowe o czary.

W roku 1638 opętana przez diabła białogłowa na sploniecie żywcem skazana została. Stos na placu przykościelnym postawiono a gdy rankiem, po mszy świętej, delikwentkę nań poprowadzić mia no, okazało się, że nocka oczy zamknęła, poturbowana rekami „mistrza”, w śledztwie do przyznania się powodowana. Zgromadzone na placu pospółstwo stos rozebrało, drewno na opał do domów zabierając. Z opałem nie było wówczas dobrze, podniesiono na drewno opłaty, ludność więc

sięgnęła do puszczy łódzkiej, bez zgody jej właściciela. Stąd to w roku 1642 biskup włocławski występuje przeciw mieszczanom, którzy potajemnie ośmielili się puszczy tej, własności Kościoła, wyrąb samowolny przeprowadzić i nockami drewno do domów ściągać.

Rozprzeżenie moralności mieszkańców miasteczka powoduje Kapitułę do zwrócenia się do ławy miejskiej o wszczynanie procesów przeciw szerczącym „nieprzystojność i rozpustę”. Oto w roku 1645, nieporna przykazań boskich i kościelnych „niewiasta, która grzechu się dopuściła” wyswiecona zostaje z miasta, wśród wrzasku i obelg podstarzałych matron, z którymi już nikt grzeszyć nie chciał, oraz w otoczeniu wyrostków, żądnych widoku na wpeł obnażonej niewiasty. Współuczestnik „grzechu” — mężczyzna — odbywa pokutę kościelną i „placi winę” baryłką wosku, ofiarowaną „na świecę do ołtarza”. Niechaj ten ołtarz ma coś z tego bezceń-

strz”, stosując zwykle w tym czasie tortury. Było to w roku 1695.

Oplaty i „popłaty” coraz trudniej było ściągnąć od zubożonych mieszczan. Kapituła naciska arendarza, któremu mieszczanie stawiają czynny opór. Dnia 3 sierpnia 1753 roku — użalał się biskup na mieszczan łódzkich: — ci „pijacy i buntownicy przeciw zwierzchności, napadli już na poprzedniego biskupa a teraz ostatnio i to nie po raz pierwszy porwali się na dzierzawcę dóbr biskupich, pobili go kijami, poszarпали i podarli kontusz na nim”. Gniew biskupi wzmógł się jeszcze, gdy doniesiono mu, iż mieszczanie — widocznie solidarni w akcji przeciw uciskowi — dają schronienie chłopom z okolicznych wsi kapitulnych. Chłopi ci, „do głęby przypisani”, nie wytrzymując wyzysku ich pracy, głodu i batogów dzierzawcy, zbiegli do miasteczka, prosząc o obronę i deklarując wykonywanie pracy, przez mieszczan złeczonej. Biskup pismem swym, z roku 1760, srogo naka-

był bezsporny i przez podsądnych nie zaprzeczony, albowiem... „Córka arendarza przez drzwi spoyrzawszy, widziała co się działo...”. Ten uczynek „ślawetny Gozdowski, grzywna „sroga” opłacił a Pani Moczygębina „plaga Różg 90. N-ro dziewięćdziesiąt, według przykazań Dworu” na cieie wymierzonych opłacić musiała. Krzyki i płacz spostonowanej niewia sty wchłonał w siebie obojętny wszystkiemu szum puszczy łódzkiej. Życie poszło swoim torem, niezmiennym, jak dawniej nie rozwiniętym.

„O tym niedorozwoju do pełni miasteczka średniowiecznego — pisze Władysław Strzemiński: — możemy się przekonać oglądając jego plan i porównując go z normalnym planem typowego miasteczka średniowiecznego, złożonego z regularnej prostokątnej szachownicy ulic z rynkiem w środku miasta, z ratuszem w środku rynku i kościołem w jednym z narożników rynku. W rynku skupiały się interesy handlowe, ulice były zamieszkałe przez rzemieślników jednego zawodu. Tak np. były ulice: Szewska, Rzeźnicza, Rymarska i inne. Miasto tak rozplanowane było wyrazem dwóch zasadniczych sił ekonomicznych, jakie je tworzyły — produkcji rzemieślniczej (ulice) i kapitalu handlowego (rynek). Współdziałanie tych wzajemnie się wspierających i zwalczających sił stworzyło układ funkcjonalny miasta średniowiecznego. Otóż tej równowagi nie dostrzegamy w planie Łodzi średniowiecznej. Zamiat rozwinętej regularnej szachownicy ulic — zaledwie zaznaczony jej zarys. Zamiast rynku z ratuszem otoczonego siecią gęsto załadunionych ulic — plac (obecnie Kościelny), położony na krańcu miasta. W wyniku niedorozwoju rzemiosła i nieobecności kapitalu handlowego, Łódź była miastem gdzie wegetowało paru rzemieślników, lecz nie odbywały się żadne obroty handlowe”.

Na schyłku szlacheckiej Rzeczypospolitej, w roku 1793, miasteczko ma obok modrzewiowego kościółka, jeden tylko jeszcze budynek o charakterze publicznym — drewniany areszt i to w stanie jak najgorszym. Po ostatnim rozbiore Polski, król pruski, pod którego władztwo Łódź się dostała, postarał się o następne budynki publiczne, zakupiono bowiem w mieście „dwa place, na tychże wystawiono austerie i kuźnię, do austerii teje sprowadzane bywają trunki z ekonomii Łaznów”, przynosząc zyski kiesie królewskiej. Rząd pruski odebrał Łódź biskupom, czyniąc z niej miasto rządowe, ale temu miastu chciał odebrać prawa miejskie, wobec raportów urzędniczych, że to nie miasto, a już wieś. Nie zdą żono miasteczku praw ongiś nada nych odebrać. W roku 1806 wraz z powstaniem Księstwa Warszawskiego, Łódź przejęto już jako miasto rządowe i jako takie weszło w skład powstałego potem Królestwa Kongresowego, w którym uzyskało ono prawa miasta fabrycznego.

*) W. Strzemiński — „Obraz Łodzi kapitalistycznej”. Tyg. „Więść”, nr 32, rok 1948.

mu. Objęto nim powiat Rawicz w woj. poznańskim, miasto Rybnik w katowickim i po 1—2 obwoły spisowe w wszystkich powiatach Zgromadzone doświadczenia pozwoliły na usprawnienie organizacji spisowej, udoskonalenie tematyki, wypróbowanie formularzy. Zrezygnowano na przy kład z kilku pytań, inne trzeba było bardziej jasno sformułować.

Najważniejsza rola w czasie spisu przypada rachmistrzom. Jak informuje dyrektor Wojewódzkiego Urzędu Statystycznego i zastępca Wojewódzkiego Komisarza Spisowego — mgr Wincenty Imienicki — w woj. łódzkim wyszkolono 12,3 tys. rach mistrzów. Będą to w większości nauczyciele, młodzież szkolna i renciści. Połowę z nich stanowią kobiety. Zanim jednak wyruszą oni w teren, musieli przejść odpowiednie przeszkolenie. Warunkiem zostania rachmistrzem jest pomyślne zdanie egzaminu. Cały materiał zawarto w instrukcji, liczącej przeszło 200 stron. Zna lazły się tam wszystkie niezbędne dla rachmistrza wiadomości, a także ewentualne sytuacje z jakimi może on się spotkać w czasie pełnienia swych czynności.

W woj. łódzkim stworzono 3.205 rejonów spisowych, które z kolei podzielono na 9.954 obwoły. Jeden obwód obsługuje jeden rachmistrz. Mniej więcej będzie on miał do odwiedzenia ok. 200 osób. Uda on się do nich będąc wyposażonym przede wszystkim w 12 rodzajów formularzy. Jak widać praca niebażatelną

O trudnościach związanych na przykład

z podziałem na obwoły świadczy, iż prace te w woj. łódzkim wykonywano przez 1,5 roku. Obwoły nawijają do istniejących w terenie podziałów administracyjnych, urbanistycznych, geodezyjnych, a także zasięgu poszczególnych miejscowości i gromad. Taki podział umożliwił po podsumowaniu wyników spisu opracowanie planów zagospodarowania przestrzennego dla danego rejonu. Podział na obwoły będzie służył przez następne lata do następnych spisów, badań masowych itd.

W ramach prac spisowych przeprowadzono w październiku br. badania wyposażenia miejscowości w niektóre placówki i urządzenia, jak przystanki kolejowe, auto busowe, placówki pocztowe, telefon, ośrodki zdrowia. Akcją ta była pierwszą tego rodzaju w naszym kraju.

5.

Kiedy piszę ten artykuł zbliża się trzeci termin gotowości do spisu. Wszystkie prace zostały już niemal zakończone i rach mistrze są gotowi do wyruszenia w teren. Na przysłówki ostatni guzik zapięte są także przygotowania do opracowania rezultatów spisu. W Głównym Urzędzie Statystycznym zainstalowano trzy lata temu elektroniczną maszynę cyfrową do przetwarzania danych statystycznych. Jest to jedna z największych i najszybszych maszyn w kraju, a jednocześnie należy do większych w Europie. Maszyna wykonuje

w ciągu sekundy 142 tys. operacji dodawania i odejmowania, 25 tys. operacji mnożenia i 23 tys. operacji dzielenia. W ciągu sekundy potrafi ona odczytać 60 tys. znaków, zapisanych na taśmie magnetycznej oraz 200 tys. znaków utrwalonych na dysku magnetycznym. Maszyna ta jednak nie tylko wykonuje różne działania w sposób mechaniczny, ale jednocześnie i to w sposób automatyczny przeprowadza kontrolę logiczną materiału spisowego. Na przykład uczniowi szkoły podstawowej urodzonemu w 1960 r. wpisano omyłkowo na formularzu, iż ma on wykształcenie średnie. Maszynie „przekaże się” wcześniej, że absolwent szkoły średniej nie może mieć mniej niż 18 lat. Porównując za pis na formularzu z tą informacją maszyna na wskazywać nieomylnie błąd. Maszyna oprócz tego drukuje gotowe tablice statystyczne, dzięki sprzężonym z nią drukar kom.

Technika przygotowania materiałów do przekazania ich maszynie pracującej wręcz błyskawicznie jest jednak bardzo pracochłonna. Otóż informacje zawarte w formularzach trzeba odpowiednio zakodować, a następnie przenieść za pomocą maszyn działających na odpowiednie karty maszynowe. Dopiero te karty są „odczytywane” i opracowywane przez maszynę elektroniczną.

Dzięki zastosowaniu tak nowoczesnej techniki pierwsze wyniki spisu będą opublikowane w ciągu kilku miesięcy. Dawniej trzeba było czekać na nie latami. Warto

dodać, iż w oparciu o rezultaty spisu uka że się łącznie ok. 1 tys. publikacji.

O tym czy spis będzie udany zdecydowały przede wszystkim sami. Ustawodawstwo nakłada na wszystkich obywateli udziałzenia ścisłych i prawidłowych odpowiedzi. Nie zdarza się chyba takie wypadki, jak w czasie pierwszego spisu w 1921 roku, kiedy rachmistrzów spisowych blagano na wsi: „Panockowie, chociaż dzie ci nie spijacie!... Dwadzieścia lat temu w niektórych wsiach rolnicy ukrywali w lasach bydło i trzodę chlewną przed rach mistrzami, bojąc się zarekwirowania inwentarza. Za naszą rzetelność prawo gwarantuje tajemnicę informacji uzyskanych w czasie spisu. Mogą one być jedynie wykorzystane do celów statystycznych przez GUS, nie mogą one być ujawniane żadnym innym urzędem, ani instytucjom. Mówiąc nawiasem statystykom, indywidualny formularz spisowy nie przysła się do niczego. Świadczy o tym, wspomniana wyżej maszynowa technika opracowywania wyników spisu.

Nie bez znaczenia dla prawidłowego przebiegu spisu jest nasz stosunek do rach mistrzów, którzy podjęli się wykonywania tej ciężkiej i odpowiedzialnej pracy, szczególnie. Czekają na nich wprawdzie nagrody, ale są one symboliczne w stosunku do nakładu pracy jakiej od rachmistrzów wymaga pospolite ruszenie.

ANDRZEJ DZIERŻANOWSKI

REWOLUCJA POD
PIRAMIDAMI

W swojej „Filozofii rewolucji” Abdel Gamal Naser pisał: „Wiedzieliśmy co chcemy zrobić, nie wiedzieliśmy jak”. Te słowa oddają rzeczywistą sytuację w Egipcie przed użyciem siły niepodległości. Zaczęło się od analfabetyzmu i zakorzenione tradycje religijne mocno zaciążyły nad krajem. Tym więc większa i do niedługo stała się rola rewolucji z lipca 1952 r. Z feudalnego kraju Egipt wysunął się na czoło państw arabskich i zaczął odgrywać przodującą rolę w ich zjednoczeniu.

Historia tego kraju to historia wpływów kolonialnych, politycznych zależności, podparcia rządów przez kapitał Wielkiej Brytanii, wreszcie proces rodzenia się świadomości narodowościowych, dojrzewanie do samostanowienia, powstanie Związku Wolnych Oficerów, rewolucja, ścieranie się koncepcji co do dalszych losów państwa i narodu, zwycięstwo Nasyera, kierownictwo w walce o zjednoczenie świata arabskiego, w końcu agresja izraelska i zdecydowana wola narodu odzyskania zagarniętych ziem. Jest to więc historia niezwykła i heroiczna.

Kazimierz Sidor w swojej książce „Rewolucja pod piramidami” usiłuje przedstawić drogę narodu egipskiego do samodzielności, drogę do „zwrotu na lewo, bardziej konsekwentnego rozwijania budownictwa socjalizmu, mobilizacji mas i rozbudzenia ich dynamizmu w obronie wolności ojczyzny i zdobyciu socjalnych klas pracujących, wzmocnienia sojuszu z krajami socjalistycznymi”. Jest to więc książka nie tylko o drodze do samostanowienia, o zwycięstwie nowej gospodarki, o nacjonalizacji przemysłu i reformie rolnej, lecz jest to także polityczne ujęcie skomplikowanej i tragicznej zarazem walki o przyszły kształt narodów arabskich. Jest to także książka o wielkim polityku i przywódcy Abdel Gamal Naserze, którego osobowości i wkładu w zwycięstwo nowych idei nie można dziś od siebie oddzielić.

Kazimierz Sidor: Rewolucja pod piramidami. Kłw, 1969. Stron 404. Cena 35 zł.

ZIARNA NA OKOPIE

Rok 1945 przeszedł do historii jako rok zakończenia najokrutniejszej z wojen. Książka Zbigniewa Załuskiego „Ziarna na okopie” ma symbolizować to wszystko, co powstało w ciągu ćwierćwiecza od podpisania Układu Poczdamskiego. Za słane ziarno na porzuconych okopach dało niebyszące plony. Dziś chlubiśmy się naszymi osiągnięciami, często zapominając, że jest to przecież wynikiem właśnie owych lat pogardy i walki, kiedy placono krwią i życiem za dzisiejszy kształt naszej ojczyzny. Bowiem wszystkie decyzje przynoszą określoną następstwa. Nasza, pozwalająca na powrót na Ziemię Zachodnią i Północną, stała się faktem historycznym. Dlatego też w dalszym ciągu od naszego politycznego myślenia i gotowości do konstruktywnej pracy będzie zależało czy plony z ziarna zasianego na okopach drugiej wojny światowej, będą coraz bogatsze i obfitsze.

Zaluskich w „Ziarnach na okopie” nie ogranicza się do wydarzeń poprzedzających lata odbudowy, nie porusza się na analizę wojny, lecz zestawia bilans zarówno wojennego trudu jak i wysiłku narodu w czasie jego pokojowej pracy. Dlatego nazwano tę książkę „podrecznikiem konsekwentnego myślenia, lekcją historycznego rozumowania, najściślej i w najbardziej praktyczny sposób związanego z życiem”. Dziś towarzyszy nam poczucie stabilności. Możemy w spokoju pracować, wiedząc, że w tej pracy nie jesteśmy samotni. Przyjają z krajami budującymi socjalizm, to także sukces wspólnego zwycięstwa nad hitleryzmem.

Jest więc ta książka próbą oceny zarówno tej drogi, którą przeszedł naród w czasie wojny, jak i tego co osiągnął w minionym ćwierćwieczu. Zwraca uwagę na ogromny, czasami niedoceniany wysiłek ludzki, na rewolucję społeczną przemieniającą treść naszego życia, na wielką przebudowę gospodarki, oraz na to, co gwarantowało nam te sukcesy.

E. I.

Zbigniew Załuski: Ziarna na okopie. MON 1970 r. Stron 542. Cena 15 zł.

ROMAN LOBODA

Nieboszczka godna pożądania

Wszystko dzieje się w małym dworku i tylko dwa czy trzy razy otwierają się drzwi i wpada świeże, wiejskie powietrze. Możemy sobie to wyobrazić. Inne doznania za sprawą Witkacego, czyli Stanisława Ignacego Witkiewicza spadają na nas jak grom z jasnego nieba i nic tu nie pomoże wyobraźnia, która na ogół ciut, ciut wyprzedza wydarzenia na scenie i to nam daje poczucie bezpieczeństwa na widowni, szacunek dla własnej inteligencji, a uznanie dla autora.

Przez dziesiątki lat nie doceniano i nie lubiano Witkacego, być może z tej prostej przyczyny obrony własnej godności przed „blazeńskimi” niespodziankami.

Sztuka „W małym dworku” jest jedną z nielicznych sztuk Witkacego, w której irracjonalność reakcji ludzkich raczej tak często nie zaskakuje, jest, moim zdaniem, dość konwencjonalną przypowieścią o szczerości ludzi żyjących wobec umarłych i odwrotnie.

Gdybyż tak chociaż raz umrzeć i pochodzić, a posłuchać tu i ówdzie o sobie, o życiu własnym, kto rego to nie niby przesnuwa się nam przez palce, ale w pajęczynie niewiedzy o ludziach i zdarze-

niach, które czas rozsnuwa, grzęźniemy nie wiedząc co zacz.

Piękny akord szczerości, eksplozja wiedzy o sobie, która zabija. Myślę, że czcigodny nieboszczyk po takiej wędrówce nie wróciłby żywy w zaświaty.

Dialog umarłych z żywymi trwa jednak bezustannie. I aby już skończyć z tymi gwałtami godzi się prawdę powiedzieć: Witkacy wcale nie wierzył w duchy! I, przepraszam za zuchwałstwo, ja też.

Cokolwiek by się powiedziało o autorze „Metafizyki dwugłowego cielęcia” i „Bzika Tropikalnego” trzeba mu przyznać ostrość widzenia spraw doczesnych i gorzką ironię wyrazu. Pogodny jest ten mały dworek i owszem, bytowało się w nim ku chwale, cerując te dziurki żywota czym kto mógł, aż tu trach i wróciła nieboszczka w całej swej krasie. Mieszkański dramat zabarwiony zsiadłym mlekiem i duchem przewrotnej kobiety. Córeczki jak lełże dojrzewają sobie ku poczciwości płci własnej i radości ojca, który nie ma tej błogiej pewności, że wszystkim dał osobliwie początek istnienia. Gryzie go także ów mól niepewności, czy aby wierna lub może tylko kochanką jednego była, „czy li też” nie, bo i siostrzeniec, młody poeta tracił dla nieboszczki głowę.

Ten styl i ta mieszczańsko-dworska aura, ta współczesność upoważniły Witolda Zatorskiego do po traktowania sprawy na serio, a sądzę, że i Witkacy w swym przewrotnym moralizatorstwie, między jedną a drugą euforią, tak o tym myślał. Bardzo cienkiej granicy między zaprogramowaną groteską, a zwierzęcą powagą zawartości utworu nie wolno naruszyć, co nie jest tak bezwzględny warunkiem na przykład w „Sonacie Belzebuba”, choć i tu autor sam tę labilność określa.

„W małym dworku” to zabawa w moral, a nie moral w zabawie; tak i poprowadził reżyser

spektakl łódzki. Nie znaczy to, że wszyscy wykonawcy zostali „zuniformizowani” interpretacyjnie.

Centrum i uroczy balans między życiem pozagrobowym a doczesnym, który tylko w domyśle, prezentowała Hanna Bedryńska. Niezwykle subtelnie i z wielkim wdziękiem wypełniała i głos i gest przyplwem tego, za co zesłała z tego świata; z godnością i delikatnością farsowością oddalała się od „nędznej doczesności” jako Widmo matki, Anastazji Nibek. Skrzydło „skrajnie” realistyczne prezentowali Zygmunt Malawski jako Diapanazy Nibek, ojciec córeczek, a mąż nieboszczki oraz Zbigniew Józefowicz w roli Ignacego Kozdronia, oficjalisty. Obaj panowie, jak na mój gust, nawet po wstępnych zastrzeżeniach, nieco za mało charakterystyczni!

Tuż nad krawędzią przepaści balansował Andrzej May, poeta, kuzyn Józefa Pasłukowski. Nie popadł jednak w tanią efekciarską groteskowość.

Już dawno nie widziałem tak prawdopodobnych córeczek państwa Nibków jak na scenie Teatru Nowego. Oba aniołeczki zachwycały i rozbrajały dziewczęcą naiwnością, ulotnością, czystością intencji i gry aktorskiej. Wanda Chwałkowska w roli Zosi i Mirosława Maludzińska jako Amelka.

Aleksandra Krasoń, demoniczna (jak by bez tego był się Witkacy?) kochanka poety i Nibków kuzynka, kobieta aż po grobową deskę otoczenia, była wiarygodna w stylu i interpretacji.

Janina Jabłonowska w roli kucharki Urszuli Stechło, jak zwykle plastyczna i bez fałszu. Stanisław Szymborski był zabawny jako drugi oficjalista Józef Maszejko.

Przedstawienie czyste i nieprze-fajnowane po witkacowsku, tym bardziej że problem raczej realistyczny i współczesny. Scenografia klarowna i dowcipna Liliany Jan-kowskiej.



Rys. P. Picasso.

Przeszłość i terażniejszość

To, jak Niemcy patrzają dziś na II Wojnę Światową nie może nas przestać interesować. Nie ze względu na intelektualną potrzebę konfrontacji naszych ugruntowanych, ba, doświadczonych sądów z ich sądami. Nie tylko dlatego. Sąd o tamtych jakże niedaleko jeszcze ubiegłych latach ma bowiem nie tylko wartość poglądu historycznego — jest jednocześnie świadectwem postawy wobec współczesności, która się z tamtej przeszłości zrodziła, terażniejszości na sprawach najważniejszych z nich. Dlatego śledzimy z uwagą głosy publicystyki i historiografii z Łaby, bo — rozumiejąc, że kwestionowanie odpowiedzialności Niemiec za wybuch II Wojny Światowej, próby rehabilitacji jeżeli nie w ogóle hitleryzmu, to poszczególne organy III Rzeszy, wybielenia wehrmachtowej soldateski o jakich raz po raz się dowiadujemy, mają bezpośrednie znaczenie polityczne nie tylko dla tych wszystkich, którzy sądzą owe

wypowiadają, ale również dla nas.

Waga problemu nakłada jednak większą niż przy rozważeniu innych spraw odpowiedzialność na tych wszystkich historyków i publicystów, którzy z naszej strony śledzą rozwój zachodni-niemieckiej świadomości politycznej i myśli historycznej i publicznie zdają w druku sprawę ze swoich obserwacji. Ranga zagadnienia wymaga też od nas nie tylko sformułowania naszych racji — choć i to jest niezmiernie ważne — ale zwłaszcza przedstawienia ich obcym i przeciwstawienia poglądom panującym w środowiskach, gdzie funkcjonują opinie, które odczytujemy jako dla nas krzywdzące, stroniące, czy wymierzone przeciw nam. Podobno w samych Niemczech Zachodnich — podają to na odpowiedzialność literatury — ukazało się już ponad 90 tysięcy publikacji poświęconych II Wojnie Światowej. Ciekawe byłoby wiedzieć, ile jest wśród nich przetłuma-

zonych pozycji polskich?

Już całe ćwierć wieku potarza się w kółko o obowiązku, tak, obowiązku dokumentowania naszych racji za granicą i to nie tylko w krajach zaprzyjaźnionych, ale zwłaszcza w tych, gdzie znów nas wcale tak bardzo nie kochają. Pleśmy w tym zakresie zrobili? Wciąż wstyd pytać. Cośmy przetłumaczyli z naszej literatury historycznej o II Wojnie

w latach II Wojny Światowej ujawniła, jej zachodnio-europejskim uczestnikom, że nasz ruch oporu w latach okupacji był zjawiskiem bez precedensu, że angażował miliony Polaków wszystkich orientacji i grup społecznych. Dotąd historycy włoski czy francuski o tym nie wiedzieli, bowiem krótko noga strategia tematów tabu, stosowana przed laty, do prowadziła w swej konse-

kwencji do tego, że obecni fowcy wiedzieli o każdym odruchu oporu, ale w Pradze czy Budapeszcie, o najmniejszym nie zrealizowanym odruchu sprzeciwu w łonie elity III Rzeszy i tym podobnych sprawach, natomiast o tym, co było u nas — prawie nie. Okrojone i za niżone informacje o polskim ruchu oporu czerpał omi zresztą z naszych włas-

nych publikacji. Ostatnio robi się w tym zakresie wiele, ale wciąż jeszcze to, co się udało zrealizować, to kropla w morzu. Dostrzec niebezpieczeństwo to dużo, ale jeszcze nie tyle, co jemu zaradzić. Chciałbym być z tym prorokiem i mylić się sądząc, że jesteśmy dopiero przy tym pierwszym.

Najgorzej jest oczywiście z tendencyjną niechęcią; od dawna wiadomo, że na świat domę fałszowanie historii najtrudniej znaleźć lekarstwo. Jest nim po części udzielenie odpowiedzi, ale nie tylko u nas, lecz zwłaszcza tam, gdzie propaguje się fałsz. Ostatnie wydarzenia polityczne skłaniają do optymizmu co do takich możliwości.

PIOTR DOBROWOLSKI

w swojej książeczce „Narzucona wojna” czy kontynuacja pomyłek? II Wojna Światowa w historiografii i publicystyce Niemieckiej Republiki Federalnej” (Śląsk, 1970) zebrał sporą garść wypowiedzi, które domagają się odparcia z naszej strony. Na pewno uświadomienie tego czytelnikom ma swoje znaczenie. Nie oznacza to jed-

nak, bym był tą pracą zachwycony. Mam pretensję nie do podjętego tematu, ale do metody jego opracowania, zwłaszcza do wycinkowości ujęcia problematyki historiograficznej. Zagadnieniami tymi zajmują się głębiej i poważniej inni badacze polscy z F. Ryszką, T. Jędruszką i J. Krasuskim na czele, problematyka nurtów współczesnej zachodni-niemieckiej historiografii jest wnikliwie analizowana w badaniach radiologicznych — A. I. Danilowa, P. J. Rachszmira, N. S. Czerkasowa (napisał serię artykułów znakomicie udokumentowanych), G. W. Kacmana (pisał o karierze osławionego Hoggana) wreszcie W. I. Sałowa (jest autorem obszerniej, wydanej w 1968 roku książki o kierunkach współczesnej historiografii NRF) i innych. Jeżeli autor sam nie mógł dotrzeć do szeregu ważnych publikacji, jeżeli niektóre ważne prace ocenił na podstawie cudzych opinii — czemuż nie sięgnął do dorobku tych i innych jeszcze kompetentnych badaczy, którzy znacznie wzbogaciły jego zasób informacji?

JOZEF GRZELAK

Niemcy a II Wojna Światowa

Światowej? Co z tego wyszło do czytelniczego obiegu za granicą? Nie bardzo potrafiłbym uspokoić swe obawy, że nic lub prawie nic. A potem dziwnym się temu wielce, że nawet nam zyczliwi często plotą na temat naszych dziejów najnowszych zawrotne brednie. A co dopiero niezyczliwi? Niedawna konferencja poświęcona dziejom ruchu oporu w Europie

kwencji do tego, że obecni fowcy wiedzieli o każdym odruchu oporu, ale w Pradze czy Budapeszcie, o najmniejszym nie zrealizowanym odruchu sprzeciwu w łonie elity III Rzeszy i tym podobnych sprawach, natomiast o tym, co było u nas — prawie nie. Okrojone i za niżone informacje o polskim ruchu oporu czerpał omi zresztą z naszych włas-

Z pracowni łódzkich plastyków

ANDRZEJ GRUN

Malarz to sługa światła



Elżbieta Polkowska — „Pejzaż”.

Fot. J. FIDLER

MALARSTWO ELŻBIETY POLKOWSKIEJ łączy w sobie dwa w zasadzie sprzeczne pierwiastki: impresyjne, zmysłowe odczucie natury, ze spekulatywnym, w pewnych wariantach nawet intelektualnym jej rozumieniem. Wychodząc od ogólnego wrażenia zmierzają one w kierunku wychwylenia i wydobycia na powierzchnię cech najistotniejszych, najbardziej charakterystycznych, leżących u podstaw tegoż wrażenia i tworzących je. Nie wystarczy jej samo doznanie, jakiegoś doświadczenia za pośrednictwem wzroku. Szuka wewnętrznej w sobie uświadomienia czy komentarza i łączy z tym wszystkim, co kryje się za fizyczną zewnętrznością zjawiska. Sama chęć zakomunikowania tego, co zobaczyła nie jest dla niej powodem do namalowania obrazu. Każde zjawisko — pejzaż, akt, martwa natura — posiadają w rozumieniu Elżbiety Polkowskiej swój ukryty sekret, swoją „quinta essentia”, którą zadaniem malarza jest odkryć i ukazać. Dlatego wychodzi ona od lapidarnych szkiców robionych wprost z natury i właśnie z tych szkiców biorą swój początek późniejsze obrazy. Maluje bowiem zawsze w pracowni, aby w ten sposób osiągnąć maksymalną koncentrację nad najważniejszym, nad syntetycznym znakiem.

Polkowska studiowała w Poznaniu w pracowni P. Potworowskiego, malarza, którego talent i poglądy wywarły wyraźny i ściśle określony wpływ na stosunkowo dużą grupę młodych twórców. Wystarczy zacytować fragment jednego z listów pisanych przez Potworowskiego do swoich studentów przebywających na plenerze w Rewie, aby zorientować się w jego sugestiach, dotyczących pejzażu, kompozycji, koloru.

„Byliście na spacerze na redzie piaskowej. Teraz wróciście do domu. Dłaczego pejzaż, namalowany z doświadczeń wizualnych z tej wycieczki, ma być oknem? Nie mieliście przecież żadnego kaganca na twarzy, ani w ogóle żadnego okna tam nie było — była otwarta przestrzeń wokół was, szalenie otwarta. Z trudem można było znaleźć jakiś przedmiot, który by dopomógł do rozpoznania, zrozumienia tej przestrzeni. Teraz siedzicie z opuszczonymi rękami i pragniecie stworzyć pejzaż za pomocą Waszych pałeczek. Ale nie żaden „widok przez okno”. Jedyne ograniczenie — to płótno, deska, czy inna przestrzeń, na której sformułowany będzie pejzaż. Zamiast brać gotowe, konwencjonalne materiały, niech Wam się zda, że nie istnieją farby i ołówki. Za przestrzeń Waszej akcji niech posłuży znalezione kawałki deski, czy stare drzwi, blacha, co się da. Teraz nie ruszajcie się zupełnie, tylko sformułujcie myślą samą istotę tego pejzażu, który Was otoczył na wycieczce. Tyle tych wrażeń: piasek pod stopami, dalekość i bliskość, białe płatki, chmura szara, jasna na ciemnym tle, zakręć brzoza, woda, niebo, małość człowieka w ogromnej przestrzeni szarej, kije od sieci i nagie znów niebo; kiedy leżycie na piasku twarzą do góry, albo małe przedmioty przed oczyma, kiedy twarz zwraca się do piasku. Ta mnogość, ta ogromność, a tu tylko — kawałek deski i parę patyków zamiast linii — do tego, żeby zrobić pejzaż. Cały proces kondensacji wrażeń i decyzji, że są one liniami tylko, liniami prostopadłymi, liniami poziomymi. Ułożone na desce stają się nagie pejzażem mocniejszym i potężniejszym niż ta „imitacja okna”. A jeżeli z laki tosu farby się znajdują, a żeby kolor stworzyć — to będzie on położony, jako coś nadzwyczajnego. Kiedy nagie deska zacerwień się sianą paloną — musi to być rewelacja. U-

żywanie kolorów — farb, jak niewolników, zmuszanie ich do tworzenia przedmiotów, jest zbrodnią przeciwko samej istocie światła. Malarz to sługa światła, którego tajemnicę on odkrywa. Każdą farbę musi odkryć i zakochać się w niej, zanim ośmieli się użyć jej jako kolorowej plamy. Kończąc, zwinie się w kłębek, próbując zębami pejzażu, zanim zaczniecie go tworzyć, ale nie róbcie „okna”.

PIOTR POTWOROWSKI

Wydaje się, że Polkowska w sposób mądry i twórczy pojęła sugestie Potworowskiego. Użyła ich dla potrzeb własnych, zwłaszcza w odniesieniu do koloru i światła. Jej kolorystyka jest „sumą wrażeń” umieszczonych w granicach wąskich na ogół gam barwnych — brązów, błękitów, czerwieni. Wysiłki jej zmierzają w kierunku określenia pewnego rodzaju kodu barw dla danego zjawiska — do syntezy kolorystycznej. Tego rodzaju postępowanie nie zuboża wcale kolorystykę obrazów. Przeciwnie, wzbogaca ją o całe rejestry tonów i półtonów rezgnując z efektów barwnej kafeonii, ostrych zestawień.

Bardzo istotny w malarstwie Polkowskiej jest element ruchu, polegający na zmianie planów i na stosowaniu „punktów zbiegu” linii, płaszczyzn, form wyprowadzających tenże ruch.

Polkowska wyniosła z pracowni Potworowskiego umiejętność dogłębnego studiowania natury, jak również umiejętność i nawyk studiowania i inspirowania się obrazami istniejącymi. Wróćmy jeszcze raz do listów Potworowskiego pisanych w 1958 r. do swoich studentów.

„Kiedy zastanawiałem się nad tym,

jak malować, zwrócił moją uwagę fakt, że niektóre obrazy trwają, a inne — nie. Postanowiłem zbadać na czym to polega: analiza obrazów znikających była łatwa, płytka i tępa, reprodukcja wartości oczywistych na malowaną w sposób najbardziej konwencjonalny. Moda, pochlebstwo, oportunizm. Zresztą większość ich, znikła i zniknąć będzie. Chodziło o to, aby zrozumieć, na czym polega trwałość, obrazu i dlatego zabrałem się do oglądania tego malarstwa, które przeszło najdłuższą próbę czasu, chciałem zobaczyć, z jakich elementów jest zrobiony obraz, który trwa, który ma wartość dla ludzi, dla ludzkości, bez względu na czas. Żadne fizyczne rozmyślanie nie dadzą tyle, ile zobaczenie. Oczy moje, to najważniejszy mój organ kontaktu ze światem. Chciałem sam zobaczyć i zrozumieć tajemnicę obrazu trwałego. Obejrzałem, żyłem się, przebywając dłuższy czas w ich sąsiedztwie. Dwie wielkie epoki malarstwa: zacząłem od neolitycznego malarstwa w grotach Lascaux i okolice, potem pojechałem do Toskanii — aby obejrzeć malarstwo z okresu 800—200 lat przed n. e. oraz Pompeje, Herkulanum i Ostie, gdzie powstało malarstwo grecko-rzymskie. Te obserwacje doprowadziły mnie do zrozumienia, że każdy obraz aby stać się obrazem trwałym musi zawierać w sobie prawdę najistotniejszą, najbardziej intymną, tę prawdę wewnętrzną o danym zjawisku, która jest jedyna i niepowtarzalna. A ukazanie jej powinno dokonać się środkami najprostszymi, ale i najbardziej celowymi i przekonującymi”.

Słowa kończące list odnoszą się do malarstwa Polkowskiej.

Dodam jeszcze, że cenię to malarstwo sobie szczególnie także za odporność na „... modę, pochlebstwo, oportunizm”. Cecha to nie często dziś spotykana.

JACEK FRÜHLING

Warszawski notatnik teatralny

Powoli, stanowczo za powoli, rozkręca się nowy sezon teatralny. W ciągu września i października ilość premier, które by potrafiły zwrócić na siebie większą uwagę, była minimalna. Karmiono warszawiaków i licznych przyjezdnych odgrzewanymi daniami kanikularnymi. A więc „Opera za trzy grosze”, Brechta, której reżyser w Teatrze Narodowym osiągnął pewnego rodzaju rekord: Songi podawane są w ten sposób, że tylko od czasu do czasu rozumie się jakieś strzępy tekstu. Podobnie przedstawia się sprawa prozy Brechta. Jeżeli dodamy, że aktorzy wyraźnie nieswojo czują się w tej arcycywilizacyjnej sztuce, będziemy mieli mniej więcej obraz niefortunnej całości. Trudno również zachwycić się Ibsenowskim „Peer Gyntem” w Teatrze Ateneum. Ten przepiękny poemat, głęboki, filozoficzny, ukazujący kręte, zawile, wspaniałe drogi fantazji ducha ludzkiego, został spłycony. Przede wszystkim przez przekład, papierowy, pozbawiony polotu i fantazji, szary i bezzbarwny. Rozmachu, fantazji, isnienia, niestety, rów-

nież zadamy filozoficznej; zabrakło wykonawcom. Publiczność, dla której „Peer Gynt” to przede wszystkim legenda poetycka, wychodzi z Ateneum, które w ostatnich czasach dało jej tyle przeżyć i wzruszeń, rozczarowaną i nienasyconą. Trzeci kanikularny niewypał to „Jan III” Szekspira, zaadaptowany przez autora tej miary, co Duerrenmatt. Nie można powiedzieć, aby się autorowi „Wizyty starszej pani” ta adaptacja udało. Nie wnosi niczego nowego, jest chwilkami mętna. Trudno w takiej sytuacji winić wykonawców, że nie wiedząc dobrze co i kogo grają, nie potrafili z niewielkimi wyjątkami, ani porwać, ani zainteresować. Warto przy tej okazji dodać, że nie tylko w Polsce Duerrenmattowska adaptacja spotkała się z przyjęciem mało przychylnym.

Skończmy ze zrzędzeniem i pretensjami, przejdźmy do plusów. Takim hiperplusem jest widowisko o Norwidzie zaprezentowane w Teatrze Narodowym. Hanuszkiewicz wnikliwie, z miłością i z wielkim zrozumieniem dobrał teksty, które w ujęciu scenicznym nabrały rumieńców, pulsują życiem, krwią i świętym gniewem na to, co w Polsce i w Polakach złe, szkodliwe, występne. Wszystko co w tym widowisku pada ze sceny przepojone jest polskością. Na dnie gniewu tli ból i rozpacz, a równocześnie poszczególne sceny, dialogi i monologi kryją w sobie wiarę i nadzieję, że ostateczny triumf odnieść muszą dobro, piękno, szlachetność. Widownia słucha tych słów, przeważnie mało jej znanych jak objawienia, podchwytuje każdą proroczą aluzję, nie zraża się nawet fragmentami mniej dla przeciętnego widza zrozumiałymi. Ujęcie sceniczne ponad wszelkie pochwały. Aktorzy w lwiej części, rekrutujący się z byłego zespołu Teatru Powszechnego, sprawiają wrażenie idealnych, pod batutą kapelmistrza Hanuszkiewicza zespolonych instrumentów. Chcąc być sprawiedliwym należałoby wymienić cały afisz. Okazuje się, że bez udziwnień, bez kar-

kołomnych i nie zawsze zrozumiałych stawian na głosie, można osiągnąć wspaniałe rezultaty, trafić i do serc i do umysłów.

Teatr Kameralny wystąpił ze sztuką Grochowiaka „Chłopcy”. Jest to tragiczna, wstrząsająca opowieść o dogorywaniu garstki emerytów w przytulnym, pozostającym pod egidą władz kościelnych. Największą zasługą Grochowiaka jest chyba to, że udało mu się nie tylko zgłębić problematykę rencistówskiego żywota, ale w błyskawicznych skrótach ukazać w całej pełni ludzi, występujących w jego utworze. I jeszcze jedno. W przeciwieństwie do większości nowych sztuk polskich, postacie sceniczne Grochowiaka nie posługują się drętwą mową, mówią jak codzienni, przeciętni, szarzy ludzie. O wykonaniu można powiedzieć to samo co o wykonaniu widowiska o Norwidzie. Znakomite, bez zgrzytu, zgrzywy, efekciarstwa, żonglerki. O ileż ci teatralni „Chłopcy” są lepsi, bliżsi odbiorcy, bardziej rzeczywisti od tych, których nam swego czasu ukazywała telewizja. Tak, nawet najlepsze widowisko telewizyjne z najlepszymi wykonawcami, nie jest wstanie zastąpić żywego słowa, żywych ludzi.

STS, teatrzyk studencki, ciesząc się wielkim wzięciem, wystąpił z widowiskiem „Złota rączka”. Jest to rewia cierpienia różnej maści wynalazców, zainscenizowana na podstawie głosów prasowych. Pięknie to i zbożnie występować w obronie skrzywdzonych. Ale czy autor widowiska, czelowy nasz satyryk, Andrzej Jarecki, nie przejął trochę pałki? Czy naprawdę tytuł w naszym kraju wynalazców, oczywiście, genialnych, światoburczych? Czy naprawdę każdy, kto wynalazek bierze pod lupę, to szkodnik i przestępca?

Szkoda, że w dobrze zmontowanym widowisku nie znalazła się scenka: pląga wynalazczości. Przydałaby się, o przydała!



WOJENNY LUP
PISARZY

„Nasz lup wojenny” jest książką pasjonującą. W tej opowieści o wojennych i tuż powojennych losach pisarskiego pokolenia wspomnienie sąsiaduje z ujęciem krytyczno-literackim, anegdota z krytyczną impresją. Adam Włodek — poeta, krytyk oraz energiczny animator ruchu wydawniczego w konspiracji i w powojennym już Krakowie — opowiada dynamiczne dzieje krakowskiego środowiska literackiego. Opowieść Włodka uzupełnia bardzo obszerny wybór tekstów, dokumentów, które autor w całości lub części przytacza. Wiele w tej książce np. nie drukowanych dotąd utworów pisarzy, których twórczość weszła już do historii literatury.

Z ciekawością i wzruszeniem czytamy w „Lupie wojennym” o pierwszych debiutanckich krokach takich pisarzy jak Wisława Szymborska, Jerzy Brzostkiewicz, Wilhelm Mach, Władysław Machejek czy Tadeusz Różewicz. Kolorowa, nasycona humorem i anegdota jest opowieścią o debiucie Tadeusza Kublika, który do redakcji „Waliki” przyniósł... pełen piekacz wierszy. Wzruszająca jest opowieść o przedwcześnie zmarłym wybitnym piśmaku Wilhelmie Machu, piękne są karty poświęcone księgarni na Łobzowskiej...

No i wreszcie jest „Lup wojenny” bodaj pierwszą rejestracją konspiracyjnego ruchu literackiego w Krakowie. Adam Włodek był jego uczestnikiem i w wielu wypadkach — inicjatorem. Mamy więc przekaz z pierwszych ręki. A przykaz to rzetelny, uwiarygodniony licznymi tekstami z tamtych lat. Wreszcie sprawa nie bez znaczenia — książkę napisał poeta, który wspomnienia lat młodości potrafił osnuć piękną mgiełką sentymentu i wzruszenia. Jest to więc także bardzo piękna książka.

J. W.

Adam Włodek „Nasz lup wojenny”. Wyd. Literackie 1970, cena 30 zł.

faktu prawa przyrodzonego. To pozytywne z jednej strony zjawisko, ułatwiające młodocianym wejście w życie, z drugiej strony rodzi jednak pewien margines spraw społecznie negatywnych. Otóż nie które jednostki wykorzystują, w sposób sprzeczny z zasadami współzycia społecznego zarówno swój wolny czas, jak i możliwości ułatwionego startu życiowego. Rodzi to zjawisko określane jako chuligaństwo. Stąd już niedaleka droga do innych kategorii przestępczości. Czy jednak można mówić, że ów margines młodzieży nie dostosowanej tworzy na przykład młodzież inteligentną czy robotniczą? Nie, co najwyżej można podać, jaki procent młodzieży z tego marginesu pochodzi z takiej czy innej grupy społecznej.

Problem nieletnich jest — jak powiedziałem — niejako pierwszym etapem rozbijającym przestępcę. Dalej następują takie, jak złośliwe uchylanie się od pracy. Rodzi ono brak zrozumienia wartości systematycznej pracy, nakłania do poszukiwań szybkiego i łatwego zarobku, sprzyja na wiązaniu przestępczych kontaktów. Nie od rzeczy będzie powiedzieć, iż zdecydowana większość notowanych przez Milicję Obywatelską przestępców — to osoby nigdzie nie pracujące. Innym czynnikiem, który powoduje przestępczość, jest alkohol. Nie trzeba nawet podkreślać — tak jest oczywiste — związek alkoholizmu z procesem demoralizacji nieletnich, z rozwojem prostytucji, a co za tymi zjawiskami idzie — pobudzeniem aktywności przestępczej i wyzwalaniem się zwykłych hamulców, pozwalających panować nad zachowaniem się.

Naturalnie nie można pominąć tu kategorii przestępców, którzy nie wyrastają z żadnej z wymienionych wyżej grup. Są to przestępcy gospodarczy, z których zło dziei „robi sposobność”. Charakter społeczny naszej gospodarki z konieczności zezwala wielu ludziom na dostęp do mienia, pozwalając im nad tym mieniem swobodnie pieczeć. W mentalności tych ludzi trudno doszukać się jakichś odchyśleń od normy. Ich działania spowodowane jest okazją, jaką stwarzała niekiedy braki organizacyjne lub kontrolne.

Liczna grupa przestępców stanowią osoby popełniające przestępstwa w ruchu drogowym. Są to z reguły przestępcy nieumyślni i do nich oceny stosować trzeba inne kryteria etyczne, niż do przestępców naruszających z premedytacją reguły życia społecznego.

Reasumując: w naszych warunkach ustrojowych należy mówić nie o środowiskach, z jakich wywodzi się przestępcę, ale o warunkach, które rodzą przestępcę. Problem ujawniania i zwalczania przestępczości jest zależny od likwidacji tych warunków.

— Jakie kategorie przestępstw uważa Milicja Obywatelska za groźne dla mieszkańców miasta?

— Myślę, że odpowiedź trzeba zacząć od stwierdzenia, iż większość przestępstw, bo ponad 70 proc., jest popełniana w miastach, a szczególnie zagrożenia przestępczością w okresie ostatnich 10 lat wykazywały duże centra urbanizacyjne. Jednakże jeszcze raz muszę podkreślić, iż w ogólnej masie czynnych występnych do minuty przestępstwa drobne — sroawy ali mentacyjne, drobne kradzieże, nieumyślnie podpalenie itp. Natomiast poważne, takie jak zabójstwa, nieumyślnie spowodowanie śmierci, bójki pociągające za sobą śmierć lub ciężkie uszkodzenie ciała, rozboje z bronią w reku, stanowią niewielki odsetek ogółu przestępstw.

W warunkach Łodzi — podobnie zresztą

jak i innych miast przemysłowych — szczególną uwagę zwrócić należy na przestępstwa zagarnięcia mienia społecznego. W walce z przestępczością ochrona gospodarki narodowej zajmowała i zajmuje czołowe miejsce. Nadal najbardziej zagrożonymi działami gospodarki są: przemysł spożywczy, skup, budownictwo, obrót towarowy, spółdzielczość. Przestępstwa zagarnięcia mienia społecznego wymieniam na pierwszym miejscu przede wszystkim z uwagi na ich aspekt polityczny. Powodem są one bowiem skomplikowaną sytuację rynkową, więc brak na rynku niektórych artykułów, wywołują niezadowolone społeczeństwo, uogólnione niekiedy na system gospodarczy itp. Wywołują jednocześnie stan rozgoryczenia, zwłaszcza kła

te realizuje? Otóż, jak już wskazałem, nastąpił dość znaczny spadek ilości przestępstw, popełnionych na terenie naszego miasta. Jednocześnie, w skali miesiąca, wykrywalność sprawców tych przestępstw jest wysoka i przekracza cyfrę 80 procent. Nie będę w błędzie, jeśli wyprowadzę z tej liczby prognozę optymistyczną, uzasadnioną faktem, iż z każdym miesiącem bratan ten ulega poprawie. Zresztą społeczeństwo naszego miasta jest informowane o ujawnianiu sprawców poważnych przestępstw. Warto w tym miejscu dodać, że dotąd ustaliliśmy sprawców niemal wszystkich poważnych przestępstw — w tym morderstw i włamań.

Do procesu ujawniania sprawców prze-

• Sprawność • Skuteczność • Profilaktyka

sy robotniczej, rażącymi dysproporcjami materialnymi między złodziejami mienia państwowego a resztą społeczeństwa.

Inną kategorią przestępstw, które budzą niepokój i rzucają w sposób zasadniczy na stan bezpieczeństwa w naszym mieście są włamania, zarówno do obiektów uspołecznionych jak i na szkodę obywateli. W tej grupie przestępstw nastąpił wzrost w stosunku do roku 1969 przy jednoczesnym wzroście strat jednostkowych. Jedyną drogą do zahamowania wzrostu włamań jest należyte zabezpieczenie mienia. W ujawnionych przypadkach włamań Milicja Obywatelska spotyka się często z zadziwiająco lekkomyślnością właścicieli lub osób odpowiedzialnych za zabezpieczenie mienia. Otwarte bramy, śpiący dozorczy, cenne rzeczy pozostawione w samochodach — to tylko niektóre przykłady. Problem ten wymaga natychmiastowej poprawy w zakresie usunięcia warunków sprzyjających powstawaniu przestępczości.

— Jak Towarzysz Komendant ocenia stan przestępczości w naszym mieście, stopień wykrywalności przestępstw i metody ich zwalczania przez organa Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa oraz formy i kierunki profilaktyki?

— Pytanie to porusza bezspornie nie zmienne ważne problemy. Jest bowiem rzeczą oczywistą, że nie jedynym warunkiem, ale bodaj najistotniejszym czynnikiem zwalczania przestępczości jest sprawne działanie Milicji Obywatelskiej. Dla zlikwidowania przestępczości konieczne jest jak już powiedziałem — nie tylko stosowanie środków prawa karnego. Niezbędny jest tu też zespół środków o charakterze zapobiegawczym. Najlepiej przecież zabezpieczyć społeczeństwo przed ingerencją prawa karnego poprzez ograniczenie sytuacji, w których organy ścigania powołane są do wkraczania.

Wynika więc z tego dwojaka funkcja organów Milicji Obywatelskiej: ściganie sprawców przestępstw i zapobieganie przestępczości.

Z jakim skutkiem aparat nasz funkcje

przebiegają? Jest cały aparat milicji, zaangażowani są specjaliści, sprzęt techniczny, prowadzi się wkłkiwe badania laboratoryjne. Za każdym z ujawnionych sprawców kryje się żmudna, wielomiesięczna praca, wyjaśnienie wielu hipotez, analiza niekiedy tysięcy osób potencjalnie podejrzanych, jak na przykład w sprawie o zabójstwo Idzikowskiej czy Turka.

W programie walki o porządek i bezpieczeństwo, podstawowy kierunek pracy Milicji Obywatelskiej stanowi jednak zapobieganie i na nim koncentrujemy wysiłki wszystkich naszych ogniw. Zapobieganie — usuwając przyczyny i źródła przestępczości — jest warunkiem skutecznej eliminacji z naszego życia skutecznego działania przeciw prawu. Działania zapobiegawcze spełniają jeszcze inną, bardzo istotną rolę. Stanowią bowiem część składową procesu socjalistycznego wychowania społeczeństwa. Potrzeba działań zapobiegawczych wypływa z samej istoty naszego aparatu, służącego społeczeństwu i podstawowym treściom ustrojowym, tj. trosce o dobro społeczne, szacunek dla człowieka, humanitaryzm. Działalność zapobiegawcza zgodna jest ze społecznym rozumieniem sprawiedliwości i moralności i polega na uprzedzeniu, niedopuszczeniu lub przeciwdziałaniu powstania czegoś niepożądanego, co przyniesie może szkodę interesom społeczeństwa bądź jednostki. Oznacza to, że Milicja Obywatelska i Służba Bezpieczeństwa nie są biernymi obserwatorami przestępczych poczynań, nie oczekują, aż się wydarzy przestępstwo. Przewodzone działania mają na celu usuwanie wszelkich stanów, grozących powstaniem szkodliwego działania.

Minione miesiące są przykładem wielu osiągnięć na tym odcinku, odczuwalnych właśnie w postaci zmniejszenia się liczby przestępstw. Ponad dwukrotnie zwiększyliśmy liczbę funkcjonariuszy, pełniących służbę w okresie nocy. Miasto patroluje nocą podwójna, w stosunku do roku ubiegłego, liczba radiowozów pogotowia milicyjnego. W działania profilaktyczne Milicji

Obywatelskiej jak najszerszej włączyła się Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej. Szczególne słowa uznania należą się tu członkom ORMO, ZMS-owcom, którzy aktywności i inicjatywa, zwłaszcza w ostatnim czasie, znacznie pozwalają rozszerzyć krąg zagadnień objętych działalnością profilaktyczną.

— Jakie zagadnienia znajdują się w centrum działań zapobiegawczych?

— Otóż przede wszystkim — ochrona gospodarki narodowej, realizowana poprzez formy bezpośredniego oraz pośredniego oddziaływania i zmierzająca do zlikwidowania warunków i okoliczności, sprzyjających nadużyciom, zabrom, marnotrawstwu, niegospodarności; zabezpieczenie produkcji i ochrona obiektów przemysłowych, przeciwdziałanie próbom destrukcyjnego oddziaływania na gospodarkę narodową ze strony ośrodków wywiadu i firm zachodnich. Dalej, ochrona przed penetracją wywiadowczą państw zachodnich, która w świetle ostatnich ustaleń przybiera charakter totalny; działalność informacyjna, uświadamiająca społeczeństwo, na czym polega taktyka imperialistycznych ośrodków wywiadu i dywersji; walka z demoralizacją i przestępczością wśród nieletnich i młodocianych; resocjalizacja i produktywizacja elementów społecznych i pasożytniczych; intensyfikacja walki o bezpieczeństwo i porządek na drogach itp.

Wszystko to jednak opiera się o podstawową zasadę naszej pracy, wyrażającą się działaniem w interesie narodu i władzy. Oznacza to, iż istota tej pracy polega na moralnym poparciu i bezpośredniej pomocy ze strony społeczeństwa na świadomym współdziałaniu wszystkich obywateli. Wieloletnia praktyka wykazała, że włączając do społeczeństwa, jego ideowo i politycznie znaczenie, ma wartość zasadniczą dla rozwiązania problemów walki z przestępczością. Wynika z tego, że nie działamy w izolacji, że współpraca opiera się na zaufaniu i pomocy.

W tym miejscu, w sposób jednoznaczny, chciałbym podkreślić ogromne znaczenie tej pomocy dla pracy Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa i podziękować za bardzo wiele użytecznych informacji, wskazujących na kształtowanie się i rozwijanie w społeczeństwie poczucia współodpowiedzialności za bezpieczeństwo i porządek, za ochronę mienia narodowego. Wiele faktów, wskazuje na to, że zwracanie przez obywateli uwagi na zjawiska społecznie szkodliwe stało się już nawykiem, wynikającym z postawy etyczno-moralnej. Wiele skomplikowanych, po ważnych przestępstwach ujawniono właśnie dzięki pomocy społeczeństwa.

Jednocześnie, korzystając z okazji, w imieniu funkcjonariuszy łódzkiej Milicji Obywatelskiej, Służby Bezpieczeństwa i własnym chęć przekazać podziękowania prasie, radiu i telewizji za stosowanie tak wielu i tak różnorodnych form oddziaływania ogólnospołecznego w interesie wspólnego celu — walki z przestępczością i jej źródłami.

Kończąc, wyrażam przekonanie, iż następne miesiące będą z naszej strony konsekwentną realizacją podjętego działania na rzecz obniżenia ilości popełnianych przestępstw i podniesienia wskaźnika wykrycia sprawców. Mam nadzieję, że ogromna troska o sprawność, skuteczność i pryncypialność naszego działania, połączona z dbałością o kulturę służby, pomoże nam ugruntować w społeczeństwie autorytet Milicji Obywatelskiej i Służby Bezpieczeństwa.

— Dziękuję za rozmowę.

RÓZMAWIAŁ:
WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

Żle i dobrze o słowniku pisarzy

Nie jesteśmy krajem zasobnym w leksykony i encyklopedie. Pod tym względem nie wytrzymujemy porównania ani z Zachodem, ani ze Wschodem. Dla przykładu: w ZSRR dobiega końca wydanie „Krótkiej Encyklopedii Literackiej” wcześniej ukazała się 5-tomowa „Encyklopedia Teatralna”, nie licząc podręcznych, przeważnie jedno- lub dwutomowych słowników obejmujących różne dziedziny twórczości artystycznej i naukowej. We Francji słowniki i encyklopedie literackie ukazywały się po ostatniej wojnie co nie miara. Także w NRF i NRD mamy do odnowienia leksykony, poświęcone literaturze światowej, literaturom niemieckiego obszaru językowego i własnym literaturom narodowym.

W tych warunkach ukazanie się leksykonu Lesława M. Bartelskiego „Polscy pisarze współcześni 1944—1969” opinia publiczna powitała z uznaniem i radością. Jest to pierwsza tego rodzaju praca ogłoszona po wojnie. Wiadomo już, że 30-tysięczny nakład rozszedł się migiem. Najlepiej dowód, jak rzecz taka potrzebna i jak rzadka na naszym rynku wydawniczym. Słownik literacki Bar-

telskiego, ujęty alfabetycznie, zawiera — jak czytamy na skrzydełku obwoluty — ponad 1000 haseł: poetów, prozaików, autorów scenicznych, reportażystów, krytyków oraz tłumaczy. Opracowanie haseł jasne i przejrzyste wedle następującego porządku: imię i nazwisko autora, data oraz miejsce urodzin (przy zmarłych data i miejsce zgonu), wykształcenie, data debiutu w czasopiśmie, rok ukazania się pierwszej książki, działalność publiczna. Zważywszy, że cały materiał jest dziełem jednego autora, należą do Lesława Bartelskiego nie tylko wyrazy wdzięczności, ale i podziwu. Ten znany poeta, powieściopisarz i eszysta podjął się nie lada zadania, z którego na ogół wywiązał się bardzo dobrze. Ponieważ jednak jest to rzecz pionierska, nie obeszło się bez błędów i uchybień. Bartelski, świadomy niedostatków przedsięwzięcia, zamknął przedmowę do swego leksykonu następującymi słowami: „Stąd i pewne omyłki, za które autor „Polskich pisarzy współczesnych” z góry przeprasza tak zainteresowanych jak i czytelników, licząc, że wszelkie ewentualne niedomagania usunie przy następnym wydaniu”.

„Życie Literackie” wykłębło już Bartelskiemu pominięcie szeregu pisarzy ze środowiska krakowskiego. Szkoła jednak, że zrobiono to w „Żywociku”, a więc jakby mimochodem, bez szerszego ustosunkowania się do zalet i wad tej publikacji. Myślę, iż każde skusisko pisarskie w Polsce dokona analizy słownika i prześle jego autorowi materiał uzupełniający, który znajdzie się w kolejnym, aby jak najrychlejszym wydaniu. Nas, ze zrozumiałych względów, interesuje jak przedstawia się w słowniku Bartelskiego łódzki ośrodek literacki. Wśród haseł uwzględnionych nie obeszło się bez pewnych błędów i niecisłości. Na przykład: Jerzy Waleńczyk i Marek Wawrzkiwicz nie byli (i nie są) członkami redakcji „Odgłosów”. Podobne uchybienia znajdują się i w hasłach dotyczących innych środowisk pisarskich. Ale są to, przynajmniej, rzeczy drobne. Zwróćmy natomiast uwagę na uchybienia poważne. Mam na myśli nieobecność niektórych nazwisk. Aż mi trudno zrozumieć, dlaczego w słowniku Bartelskiego nie ma Wacława Mrozowskiego, Grzegorza Timofiejewa i Jerzego Wyszomirskiego.

go. Wszyscy trzej to autentyczni pisarze o niebagatelnym dorobku oryginalnym i przekładowym. Brak ich w słowniku nie da się niczym wytłumaczyć, tym więcej, że żadnego z nich nie ma już wśród nas. Stanowią oni zamkniętą kartę życia i twórczości. Naprawienie w następnym wydaniu słownika krzywdy, jaka ich spotkała, jest po prostu konieczne.

Piszące te słowa dziwi również nieobecność w słowniku Franciszka Gila, jednego z najwybitniejszych reportażystów polskich po wojnie, zmarłego przed laty w Szczecinie. Grzechów i przewinień tego kalibru jest więcej. Nie zmienia to w niczym fakt, że „Polscy pisarze współcześni” to publikacja bardzo cenna. Z pewnością odda ona dobre usługi krytykom, bibliotekarzom, studentom, uczniom i tym wszystkim, którym sprawy literatury współczesnej nie są obojętne.

jk.

POLSCY PISARZE WSPÓŁCZESNI. INFORMATOR 1944—1969. Opracował Lesław M. Bartelski. Agencja Autorska — Warszawa 1970. Cena: zł 65.

TERESA
WOJCIECHOWSKA

Farsa W muzyce

Farsa przyprawiona muzyką — jest to danie nieco odgrzewane, ale przyrządzone zgrabnie może być wcale smaczne. Zabieg polega na tym, że bierze się starą i zabawną farsę, pisze według niej w miarę nowe libretto i całkiem nową muzykę, po czym podaje na scenie.

Dokonał tego Antoni Marianowicz (libretto) i Ryszard Sielicki (muzyka) z napisaną w ostatnim roku ubiegłego stulecia komedią Georgesa Feydeau „Dama od Maxima”, a wystawił ostatnio Teatr Muzyczny w Łodzi. Reżyser Kazimierz Rogowski, pamiętając, że musical ten powstał z farsy, a farsa to dowcip sytuacyjny, gagi, błyskotliwa feeria śmiechu i komicznych konfliktów, główny nacisk położył na tę stronę realizacji, na pierwszy plan wybijając aktorstwo, charakterystykę, czy nawet charakterystykę postaci. Dzięki temu przedstawienie, mimo muzycznych przerywników obfituje w zabawne sytuacje, ma wartki tok.

Umuzycznienie tej komedii zmieniło niewątpliwie jej charakter, wzbogaciło o barwne elementy taneczne i wokalne, spowodowało jednakże i pewne niedostatki. Jak wyznaje autor libretta, musiał on zrezygnować z niektórych fragmentów tekstu na rzecz muzyki, piosenki i tańca. Dokonał więc daleko idących skrótów i zabiegów adaptacyjnych, starając się — jak pisze — nie zaprzepaścić nic z oryginału. Stało się nieco inaczej. Nie znam wprawdzie oryginału Feydeau, ale nie wyobrażam sobie, by ten mistrz precyzyjnej konstrukcji, rzecz można klasycy farsy, pozwolił sobie na pozostawienie wiatku kilku bohaterów bez zakończenia. A w wersji Marianowicza ginie nam w II akcie bez wleści Klementyna, która nie pokazuje się nawet

Po zakończeniu przedstawienia, nie dowiadujemy się dlaczego Lulu uciekłszy w II akcie z porucznikiem w III pojawia się jako żona generała i dlaczego porucznik przyjmuje to z pełnym zadowoleniem, nie zakończy wreszcie pozostaje watek Ksiecica. Są to oczywiście, w skali wydarzeń międzynarodowych, fakty raczej błahe, ale niemniej, jeśli umawiamy się na wspólną zabawę w określonej konwencji, to chcemy, żeby były przestrzeganą jej reguły i zasady.

W sumie jednak „Dama od Maxima” jest pozycją lekką i zabawną, barwną i żywą, można jej nawet darować tych kilka przestarzałych i niewysokiego lotu do wciśnięć. Muzykę Ryszarda Sielickiego, bezpretensjonalną i melodyjną, przygotował Zbigniew Toffel, który w bieżącym sezonie rozpoczął współpracę z Teatrem Muzycznym (na przedstawieniu premierowym poprowadził orkiestrę Beata Ambroz). Dekoracje i kostiumy Bolesława Kamińskiego, jak za wsze jasne i pogodne, ładnie zharmonizowane kolorystycznie.

Na tym przedstawieniu bawi się publiczność, bawią się również aktorzy, jest to chyba dla zespołu tego teatru dobra etiuda aktorska. Nie ma tu statystów, nawet role epizodyczne wykorzystane są dla wzmocnienia komizmu sytuacji i postaci. Role tytułową odwarzała w przedstawieniu premierowym Anna Bielanka — Lulu pełna temperamentu, wdziękna w ruchu tanecznym. Wśród pań na wyróżnienie zasługuje Sabina Grochowska (Pani Petypon) bardzo dobra aktorsko, o dużej sile komicznej, przezaabawna w „arii z duchem”. Wiele talentu komicznego wykazał też Czesław Jarsiewicz jako General Petypon, sympatyczne postacie stworzyli: Krystyna Jarmułówna (Klementyna), Janusz Duński (dr Petypon), Witold Jawis (dr Mongicourt), Zbigniew Waloch (porucznik Corignon) i Edward Kamiński (książe Valmonte). Nieco przebarwił postać Eustachego Mariusz Kwiatkowski, do bry w geście, nieco przesadny w mimice.

Z przedstawienia tego wyciągnąć można wnioski, że możliwości aktorskie zespołu Teatru Muzycznego nie są dostatecznie wykorzystywane. Mieljmy nadzieję, że sytuacja ta zmieni się. Teatr ten przystąpił do pracy w nowym sezonie w warunkach znacznie lepszych niż dotychczas. Oddano wreszcie do użytku zaplecze, którego temu skądśnąd okazałemu teatrowi dotychczas brakowało. Oznacza to m.in. wy-

godniejsze, lepsze warunki pracy dla zespołu, dla personelu technicznego, a także daje możliwość wprowadzenia repertuaru zmiennego dzięki uzyskaniu pomieszczeń na przechowywanie dekoracji i kostiumów. Te sprawy natury technicznej, aczkolwiek nie najważniejsze w teatrze, mają przecież nie bliży wpływ na problemy artystyczne i repertuarowe. Jak wynika z wypowiedzi

dyr. Jadwigi Kandy, teatr czuje się obecnie zobligowany do wprowadzenia szerszego, ambitniejszego repertuaru. Są teraz możliwości wprowadzenia na scenę Teatru Muzycznego nowych pozycji i nowych gatunków. Obok operetek i musicali, również pożyteczni mniejszych, kameralnych, raczej muzycznych aktorów niż widowiskowych. Czekamy więc na spełnienie obietnicy.

OBIEKTYW

BIOLOGIA „CHŁOPÓW”

W II programie TV uruchomiono Scenę Prozy. Nazwa sugeruje służebny charakter telewizji w stosunku do dzieł literackich prezentowanych w tych ramach programowych. W niedzielę 22. XI. Scena Prozy rozpoczęła nadawanie „Chłopów” Reymonta w adaptacji i reżyserii Aleksandra Strokowskiego, a przygotowanych przez Łódzki Ośrodek Telewizyjny.

Niezwykle to zjawisko w naszej literaturze — „Chłopi”. Trudno dla nich szukać analogii i w literaturach innych na rodów. Porównanie nasuwa się jedynie z „Cichym Dnem” Szolochowa, który w blisko pół wieku później otrzymał te same najwyższe cenione w świecie nagrody literackiej fundacji Nobla. Ale cykl powieściowy Reymonta ma własne cechy specyficzne, niepowtarzalne.

Dziwna to książka. Znaczący w niej jeszcze wyraźny wpływ naturalistów, ale indywidualnie przetworzone. Obraz wsi zawarty w „Chłopach” jest bujny, panoramiczny, ale i biologiczny. Odmiany przyrody, sprawy ludzkie i sprawy zwierzęce to jakby jedna biocenoza, środowisko biologiczne wewnętrznie powiązane tysiącem węzłów. Życie ludzkie, wegetacja roślin i zmiana pór roku — wszystko to podporządkowane jest jednemu wspólnemu rytmowi, który rytmizuje je także powieść Reymonta.

Ta biologiczność „Chłopów” panuje w książce niepodzielnie, wyznacza nawet miejsce ludzkim dramatom. Są one tylko cząstką tego jednolitego świata, krótkim spazmem w jego równym oddechu, którego nie na długo zakłócić nie jest w stanie. Ziemia wyzywa do uprawy, zwierzęta domagają się niecierpliwie karmy, całe gospodarstwo wymaga obrządku — dzięki temu od chwili pełnych emocjonalnego napięcia przechodzą bohaterowie „Chłopów” bezpośrednio do czynności codziennych, oczywistych jak to, że słońce wschodzi i zachodzi.

Człowiek u Reymonta — który ma zdolność cieszyć się, rozpacząć i cierpieć — nie żyje na tle przyrody, lecz jest jej zintegrowaną cząstką, temu wielkiemu porządkowi przypisaną i nie mogącą się odeń niezależnie. Stąd więc i opisy przyrody inny mają sens u Reymonta, niż to zwykłe bywa w powieściach. Nie stanowią one scenarii, lecz sam miąższ, z którego spraw ludzkich wyeparowad się nie da.

Czynnikiem integrującym świat reymontowski jest jednolity język, ten sam w cytatach ludzkich wypowiedzi, co i w narracji. Jest to język chłopski, choć stylizowany i przez to sterujący ku poetyckiej metaforyce. Można bez obawy popełnienia błędów nazwać „Chłopów” wielkim poematem i to poematem epickim na miarę „Pana Tadeusza”.

Jak wypadł pierwszy odcinek „Chłopów” w telewizji? Chyba nie oddał omówionej wyżej biologiczności wiejskiego świata. Wątki Boryni i nieszczonego parobka Kuby podane zostały w sposób odarty z biologicznego kontekstu. Krótkie wstawki narratora spełniły rolę ornamentacji, przerywników, a nie czynnika spajającego świat reymontowski w jedną całość.

Błędem było, chyba dążenie do nadmiernego udratyzowania „Chłopów”. Nie jest to przecież utwor dramatyczny, lecz epicki. Złamanie proporcji na rzecz śpiew dramatycznych gubi płynną opisowość i malarskie piękno, nawiązuje do płócieln Chelmońskiego. Scena Prozy — jak nazwa wskazuje — nie jest teatrem, lecz formą podawczą dla prozy. Czy zatem trzeba było „Chłopów” dramatyzować na siłę? Czy dzieło nie przemówiłoby pełniejszym głosem, gdy by partie narratora bardziej rozbudował?

Wyluskiwanie partii dialogowych z reymontowskiego panou oznacza operowanie okruciami, które same w sobie mało znaczą. Ozywają dopiero w zestawieniu z narracyjną obudową. Materię „Chłopów” kroić należałoby, jak ów bochen prządnego chleba w czasie wieczery u Boryni. W przeciwnym razie grozi niebezpieczeństwo zbliżania się ku komiksowi.

Co mówiąc, nie chciałbym być pomówiony, że nie doceniam wysiłku realizatorów „Chłopów”, reżysera, scenografa (Jerzy Masłowski) i aktorów (a zwłaszcza Malawskiego, Józefowicza, Sochnackiego, Jabłonowskiej, Klimczakówny i Piłarskiego).

WLADYSŁAW ORŁOWSKI



Rzeźba afrykańska

spektakle tygodnia

TEATR	WIELKI	Spektakli widzów proc.		
— „Lohengrin”	1	1260	100	
— „Jeziro łabędzie”	1	1260	100	
— „Wieżor baletów polskich”	1	1260	100	
— „Faust”	3	3780	100	
NOWY				
— „Księżyc świecił nieszczęśliwym”	1	400	60	
— „Sprawa Dantona”	2	1200	80	
— „Dziś do ciebie przyjdę nie mogę”	1	700	100	
NOWY — MAŁA SALA				
— „W małym dworku”	5	1000	100	
— „Rodeo”	1	200	100	
POWSZECHNY				
— „Profesja pani Warren”	3	1980	100	
— „Lizystrata”	4	2400	99	
— „Wszyscy moi synowie”	3	1980	100	
JARACZA				
— „Wszystko w ogrodzie”	4	1895	92	
— „Ania z Zielonego Wzgórza”	2	1028	100	
— „Tajemniczy ogród”	3	1343	87	
7.15				
— „Lectern”	5	1636	78	

O FILMACH DOBRZE I ZŁE

„Przełamać u szerokiego widza niechęć do tematu traktującego o pracy — gdyby mi się to udało — to zda nie pochodzi z wypowiedzi reżysera Bohdana Poreby, opublikowanej w „Trybunie Ludu” jeszcze w toku pracy nad filmem „PRAWDZIE W OCZY”. Stwierdzenie to określa wprawdzie szlachetne intencje reżysera, zrealizowany film nie jest jednakże wykładnikiem ich możliwości praktycznych.

Odnieść można wrażenie, że twórca nie próbował wnikać w przyczyny tej niechęci, że nie wyciągnął wniosków z dotychczasowych porażek filmów zwanych produkcyjniakami, zrealizował film, który w dniu premiery jest już starocią.

W filmie „Prawda w oczy” tylko jeden temat, czyli trudność produkcyjnej wielkiej huty, jest autentyczny. Reszta jest grą pozorów, powtórzeni-

nem stereotypów, którymi na pewno nie przyciągnie się publiczność. Pozorem jest odważna demaskacja wadliwego funkcjonowania wielkiego zakładu produkcyjnego i szukanie przyczyn zła. Na co dzień w swojej pracy widzowie mają do czynienia z odważną wieścią, jej przykładów dostarcza nie mał codziennie prasa i nawet trudno tym i matrym spojrzeć. Pozór ten tym bardziej razi, że w filmie rozważanie konfliktu jest niezwykle poławiczne, zbyt naiwne i optymistyczne.

Pozorem autentyzmu postaci są bohaterowie tego filmu, mieszczący się w pełni zarówno w stereotypach jednostkowych — dyrektor, pierwszy sekretarz, bohater pozytywny, czyli suwnicowy Kaczmarek, jego dziewczyna, jak w stereotypie zbiorowości. Pożebrała to uczucie gra całego zespołu aktorskiego. Jedynie Tadeusz Janczar usiłuje wykresnąć ze swej roli coś autentycznego, pozostali, skądinąd tak świetni aktorzy jak Dmochowski, Wiehniarz, Maklakiewicz, Pietruski i Opania tworzą galerię postaci tylko przebranych w robociarskie kombinzony, odgrywają, a nie grają powierzone im role. Tego rodzaju film nie może jednakże aktorskiej przebieżanki. Falsz jest nieunikniony. Inne kinematografie (vide czechosłowacka czy radziecka) już dawno potrafiły z tego wyciągnąć wnioski.

Niewiele mamy w dorobku naszej kinematografii filmów ukazujących współczesnych nam rodaków w ich pracy i działaniu, tym bardziej uderza nas fakt, że w „Prawdzie w oczy” odnajdujemy identyczny problem i konflikt co w „Katastrofie” Czechińskiego, tyle, że rozegrany w innym środowisku. Nie kwestionując wagi za-

gadnienia odpowiedzialności za własne czyny i pracę, trzeba postawić pytanie, czy inne problemy ludzi pracy w naszym kraju nie są godne uwagi? Czyżby ludzie zatwierdzający scenariusz filmu „Prawdzie w oczy” nie znali „Katastrofy”? A może wierzyli, że nie ma sytuacji identycznych, że reżyser-artyista odkryje nowe, pogłębione psychologicznie prawdy o ludziach z innego przecież środowiska niż w tym samym filmie? Jeśli tak, to chyba się zawiedli. Stereotypu nie udało się pokonać ani scenarzystę, ani reżyserowi, którego inwencja artystyczna ograniczyła się do dwu scen filmów — zastosoowania dzieci zwolnionych i wpuszczenia gołębi do hallu butniczej w momencie wypadku i w rozebraniu aktorki w scenie miłosnej, której w dawnym „produkcyjniaku” nie godziło się neglizować.

Surowa ocena tego filmu wynika z tego, że przyzwyczajono nas już widzieć w kinie życie bardziej prawdziwe. Robili to Rosjanie, a cytowani już dziś Czesi przekonali nas o tym, że warunkiem tego, by życie samo i ludzie byli w kinie autentyczne jest spojrzenie na nich przez artystę i człowieka, który ma coś do powiedzenia, który włącza się w dyskusję z bohaterami, ale wypowiada się językiem sztuki. W przeciwnym razie spotkamy się ze zbiorem żalonych pozorów — nie będących ni życiem, ni sztuką.

* * *

Treść filmu „CZŁOWIEK W PIĘKNYM KRAWACIE” w reżyserii R. Enrico, można sprowadzić do jednego zdania, będącego również morałem tego filmu: nie można być gangsterem i nie zabijać. Dramat gangsterski ma

w dziełach kina swój własny rozdział, swego czasu był w historii filmu amerykańskiego jednym z nielicznych filmów podejmujących istotne problemy życia społecznego, odśladających te jego kulisy, za które niechętnie zagladano. Te cechy trudno przypisać francuskiemu filmowi „Człowiek w pięknym krawacie”. Reżysera nie tyle interesują społeczno-polityczne mechanizmy funkcjonowania gangsterizmu, ile pewna jednostkowa relacja między przestępcą a ludźmi szanującymi prawo. Nie gangsterzy w ogóle, ale gangster, który chciał być inny, jest bohaterem tego filmu. Nie sposób film ten traktować jako studium psychiki przestępcy, który nie chciał nim być, film jest na to zbyt płytki, zbyt elegancki w mistrzowskiej skądinąd reżyserii.

„Człowiek w pięknym krawacie” Enrico jest jeszcze jednym dowodem na to, jak perfekcja reżyserii potrafi nie nie znaczyć. Jak coraz mniej znaczą we współczesnym kinie światowym, w którym znakomitość rzemiosła potrafi tuszować nikościel treści. Film Enrico jest doskonały w swej formie — dramaturgii, rytmie, obrazie, aktorstwie. Trzyma w napięciu, a zostawia obojętnym, w momencie gdy z ekranu znika ostatni kadru. Pozostaje wspomnienie dobrego kina i ośniewającego aktorstwa Jean Paul Belmonda, pozostaje wrażenie, iż był to film zrealizowany dla niego po to by mógł jeszcze raz, zachwyć widownię wszystkimi urokami swej osobowości. Jeżeli jednak uczuciem dominującym jest to, że wszystko w tym filmie ważne jest dla Belmonda, nie dla postaci, którą odwarza, to w rachunku ogólnym coś nam się nie zgadza.

EWA NURCZYŃSKA



Tajemnice szyfru

(Dalszy ciąg z poprzedniego numeru)

— Uważasz, że te klejnoty nie leżą także do ciebie?

Skłoniła głowę. — Moje spotkanie z tobą przy taksówce nie było przypadkowe. Szukałam okazji, żeby wejść do willi, ponieważ jestem przekonana, że twój brat schował tu mnóstwo klejnotów.

— Co byś zrobiła, gdybyś je znalazła?

— Poszłabym natychmiast do ciebie.

Uwierzyłem jej, ponieważ chciałem wierzyć...

Następnego dnia rano, siedząc w łóżku, czytałem dalej szyfr Michela. Dowiedziałem się, że macocha była agentem obcego państwa i wychowała syna w tych samych zasadach. Aż do śmierci pracował dla innych. I żeby zamaskować działalność szpiegowską wyspecjalizował się jako złodziej klejnotów.

Odtoczyłem książkę, plekły mnie oczy. Potrzebne mi były jeszcze co najmniej dwa dni, żeby rozszyfrować wszystko. Męczyła mnie myśl, że nie zawiadomiłem pana Lombot o moim odkryciu. Bałem się, że mi zabierze książkę i nie dowiem się prawdy o rodzinie. Z tych samych względów chciałem także poczekać z telefonem do pana Gougona, pośrednika Biura Diagramów.

Madame Farge przyniosła mi śniadanie i oznajmiła, że Pauline poszła na plażę, aby popływać. Poszedłem do niej. Zobaczyłem z wierzchołka skały, że leży w kostiumie na piasku. A obok niej stoi mnich wysoki i brodaty, w czarnym habicie. Gdy się zbliżyłem, uciekł.

— Cieszę się, że przyszedłeś — rzekła Pauline. — Przed chwilą dostała mi się gwałtowna repra menda od jakiegoś mnicha. Powiedział, że to niemoralne pokazywać się publicznie w takim stroju.

Miała czerwone bikini, była czarująca w swej opaleniznie.

— Nie przejmuj się, mnie się podobasz...

Po obiedzie pojechałem do miasta steczka po zakupy. Pauline została na plaży. Wróciłem zmęczony i zakurzony, gdyż w drodze zepsuło mi się auto. Wykopałem się i poszedłem do pokoju,

żeby przebrać się do kolacji. Zauważyłem, że egzemplarz „Wojny i pokoju” nie leżał na stoliku. Ktoś ustawił tam wazon z różami. Widocznie Pauline za brała książkę do czytania.

Zszedłem do salonu i zapytałem obojętnie: — Gdzie jest moja lektura wieczorna?

Wyrzuciła oczy. — O, Marc, jaka jestem nieważna! Zostawiłam książkę na wierzchołku skały. Nawet niewiele czytałam, to bardzo nudne.

— Lepiej, żebyśmy zaraz tam poszli i zabrali książkę. Może zamknąć.

Odkryła się szalem i wyszliśmy. Pauline skierowała się do stopnia skalnego, który sterczał pionowo nad morzem. Był przy płyc. styższalem szum fal o dwieście metrów niżej.

— Zdaje się, że to było tutaj — rzekła.

Zapaliłem latarkę i pochyliłem się szukając książki. W tym momencie ktoś mi skoczył na plecy i zaczął mnie bić po głowie. Usłyszałem przeraźliwy krzyk Pauline. Straciłem równowagę i upadłem lejąc głowę w dół. Na szczęście nie uderzyłem o dno skałnej przepaści, lecz wpadłem do kanału. Wypłynąwszy na powierzchnię, uchwyciłem się wystającej skały. Byłem na wpół uduszony. Ogarnęła mnie wściekłość, Pauline mnie zdradziła, moim jedynym pragnieniem było powrócić do willi. Gdy znalazłem się na szczycie skały, okrzyknęłam dom, aby dostać się do niego od tyłu. Wśliznąłem się do środka i ukryty za zasłoną słyszałem głos Pauline. Jej zrozpaczony ton nie zmienił mojego postanowienia. Od pierwszej chwili, gdy ją spotkałem zdradzała mnie.

— Dlaczego pan to zrobił? Przynajmniej mi pan, że wystarczy, abym go trzymała z daleka, dopóki nie odnajdziecie skrytki. A teraz... O, Boże! Nie żyje!

— Dostę tej historii! — Głos mężczyzny był zdecydowany.

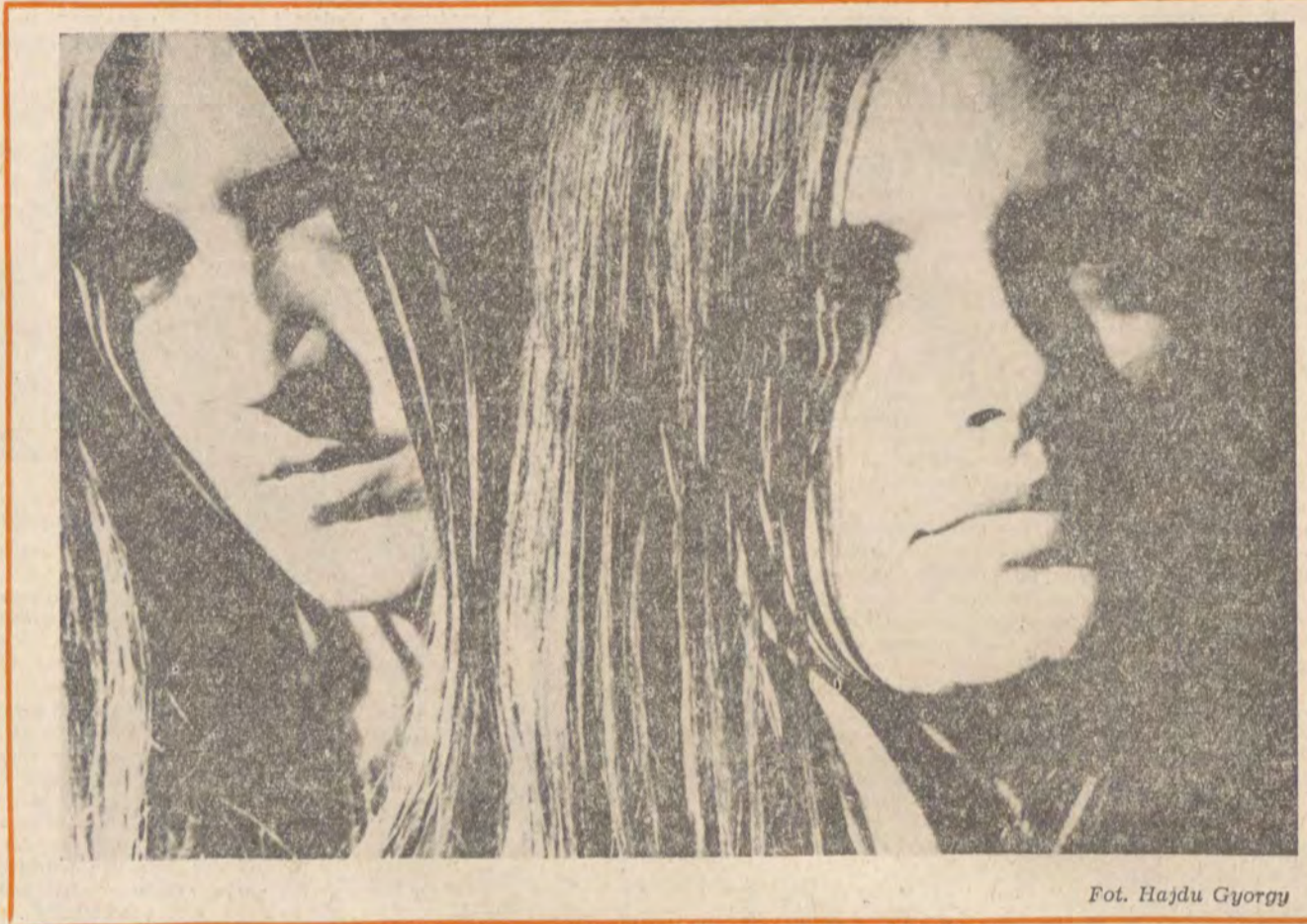
Pauline siedziała w fotelu przy stole, obok kominka stał mnich, którego widziałem na plaży.

— Co teraz będzie jak go znajdą?

— Nic. Nie jeden człowiek spada ze skały i topi się. Proszę napić się czegoś, to dobrze zrobi. — Podszedł do baru, nalał whisky do kieliszka i wyciągnął rękę w kierunku syfonu z wodą sodową. Drugą rękę wsunął pod habit i wyspał coś do kieliszka. Podał jej trunek. Skrzywiła się. Po dwóch minutach zasnęła.

Mnich wrócił do pieca i podszedł do kontaktu elektrycznego. Odkręcił go śrubokrętem i włożył rękę do środka. Jeden z wielkich kafli nad kominkiem obrócił się. Z otworu wyciągnął trzy skórzane torby, zaniósł je na stół i włożył do walizki. Leżała już tam książka „Wojna i pokój”.

Skierował się do drzwi. Na to czekałem, musiał teraz przejść blisko mej zastony.



Fot. Hajdu Gyorgy

— Witał, Marci! Jak ci się udało?

— Mam zawsze szczęście.

— Wierzę mi, nie chciałem cię zabić. Napij się, to ci dobrze zrobi. — Napenił mój kieliszek, obserwowałem bacznie jego poruszenia.

— Czego chcesz ode mnie? — zapytał.

— Chcę tę walizkę i chcę cię odstawić na policję.

— Wziąłem walizkę, nie przeszkodził mi. Coś powiedziałem do drzwi.

— Usiądź i wysłuchaj mnie, nim zrobisz głupstwo!

Wziąłem krzesło i usiadłem.

— W tej walizce jest majątek. Chciałem uciec za granicę, ale mi się nie udało — zaczął Michel.

— Słyszałem o ostatnich kradzieżach klejnotów. Po każdym twoim „skoku” ktoś umierał... utopiony.

— To rezultat chciwości. Zadał więcej, niż im obiecałem, więc musieli się ich pozbyć. Opowiedział mi jak po ostatniej kradzieży postanowił zniknąć na zawsze. Wziął z sobą do łodzi współnika, ogłuszył go, potem zamienił ubrania, włożył mu do kieszeni swój dowód i wrzucił ciało do morza. Zaraz po tym chciał wrócić do willi w Port Blanc, zabrać klejnoty i wyjechać. Lecz na morzu wybuchła burza. Po dwóch dniach walki z falami zabrał go statek holenderski i wysadził w Amsterdamie. W tym czasie policja opiekowała jego wille. Przebrany za mnicha kręcił się

około willi, czekając na okazję, aby tam wejść. Dostarczyła mu jej Pauline.

— Marc, czy wiesz, co jest w książce?

— Jeszcze nie wszystko. Chcę jednak rozszyfrować ją do końca. — Wstałem. — Pojedźmy teraz autem na posterunek policji. — Podniosłem kij. — Ruszaj się, przedko!

Wstał powoli i posuwał się w moim kierunku. Cofałem się tyłem do drzwi. Wyciągnąłem rękę i położyłem ją na kłamce. Wyszliśmy z domu.

Nagle poczułem na plecach mocny ucisk. Ktoś z tyłu wyrwał mi walizkę z rąk. Jakis głos rozkazał: — Nie obracaj się, bo będę strzelał!

(Dalszy ciąg nastąpi)

— Winter! — krzyknął przerażony Michel.

— Tak, Winter. Myślałeś, że uwierzmy, iż nasz sprytny Michel umarł? Chciałeś koniecznie, żeby cię uważano za zmarłego. A więc pozwól, że ja tego dokonam, nie będzie już wątpliwości!

Zdjął pistolet z moich pleców i strzelił. Michel upadł, na jego koszuli ukazała się czerwona plama. Odwróciłem się i uderzyłem napastnika kijem w prawą rękę, gdy celował w moim kierunku. Upuścił broń i zaczął uciekać. Podniosłem z ziemi pistolet i zbliżyłem się do brata. Nikt mu już nie mógł pomóc.

(Dalszy ciąg nastąpi)

UWAGA, CZYTELNICY!

W świątecznym numerze „ODGŁOSÓW”, który ukaze się w podwójnej objętości: reportaże zagraniczne

★ ciekawe opowiadania

★ felietony historyczne i współczesne

★ konkursy z cennymi nagrodami

Szczegóły w następnym numerze!



Lewym okiem

A JEDNAK SIĘ BUDUJE!

Od paru lat dźwiży mnie i zloszczą zabite na głucho drzwi i okna dawnej kawiarni w hotelu „Polonia”. Co prawda kawiarnie są podobno interesem deficytowym i pewnie lepiej by było zamknąć je wszystkie i nareszcie przestać dopłacać. „Polonia” jest sprytna, zamknęła, zamalowała, nie dopłaca. W samym sercu miasta, przy wielkim hotelu, pozostał tylko fryzjer i waga osobowa. Dobrze i to.

Wiemy wszyscy od dawna, że byle remont sklepu musi trwać dwa lata. Nie wiedzieliśmy tylko, dlaczego musi. Teraz sprawa zaczęła mi się rozjaśniać. Otóż pewien sklep w naszym mieście zmienia właściciela i branżę. Naturalnie, wymaga to pewnej adaptacji. Nowy właściciel szuka więc (dość długo) projektanta, projektant sporządza (bardzo długo) projekt, właściciel szuka (straszenie długo) wykonawcy, wreszcie znajduje go, wręcza mu projekt i zamawia jego wykonanie.

Koniec zmartwień dla nowego właściciela? Gdzie tam. Wykonawca odpisuje dokładnie tak: Przyjmujemy zamówienie pod warunkiem dołączenia do niego:

- pozwolenia W.B.U. i A. na wykonanie robót (nie wiem, co to jest i dlaczego muszę zezwolić),
- dowodu, że projekt uzgodniono z Zakładem Energetycznym co do pomiaru energii,
- zgody właściciela budynku na budowę pieców akumulacyjnych,
- atestów do urządzeń wentylacyjnych na dowód, że urządzenia te drgają tak jak trzeba,
- obliczeń do projektów wentylacji w zakresie zakłóceń w lokalach sąsiednich.

No dobrze. Nowy właściciel sklepu obkoleduje kilkadziesiąt biur w różnych urzędach i zbierze potrzebne załączniki. Ale w dalszym ciągu swego listu wykonawca pisze, że owszem, zrobi co trzeba, ale klient musi mu dostarczyć:

- 170 sztuk jarzeniówek, bo odnośna Centrala Zaopatrzenia ich nie posiada (no to niby skąd ma je wziąć nowy właściciel sklepu? Ukraść?),
- 9 sztuk pieców akumulacyjnych,
- 2 klimatyzatory z nagrzewnicami,
- 7 różnych nawietrzników,
- 2 czepnie ściennie Typ A,
- 2 wentylatory osiowe,
- 2 wyrzutnie ściennie.

Dlaczego musi dostarczyć czepnie i wyrzutnie? Bo — cytując: „wyprowadzenie w terminie zamówień na powyższe urządzenia wynosi PÓLTORA DO DWÓCH LAT”. Więc niech to nie będzie na nas, ani na ni-

kogo, że remont się spóźnia. Niech się reflektant na sklep zastanowi.

A jeszcze wykonawca (potencjalny) pisze dalej filuternie: „Odnośnie zakresu robót i dokumentacji, kosztorysów, materiałów i urządzeń nie wymienionych w niniejszym piśmie wypowiem się odrębnie”. Czyli: wyrzutni, czepnie i klimatyzatory nie ma i nie będzie przez dwa lata, chyba, że sami dacie. O innych rzeczach nie wiemy, może będą, może nie; to się okaże, a jak się okaże, to się zobaczy. Poza tym przyjmujemy zamówienia, tylko, aha, tylko jeszcze nie wiemy, za ile. „Zastrzegam się zmianę narzutów wyszczególnionych w załączniku”. Załączników jest cała kupa. brakuje jeszcze pięć razy tyle, ale to tylko tak naumyślnie. Zastrzegam się zmianę i wszystko gra. Oczywiście zamiast załącznika z zastrzeżeniem może go nie być wcale, sens byłby ten sam, a papieru mniej.

Jasne, że umowę zawiera się ostrożnie. My na miejscu rzeczonoego wykonawcy (znanego nam z pełnej na zryw i adresu) napisalibyśmy tak: przebudujemy sklep zgodnie z Panów zamówieniem, pod warunkiem, że dostarczącie materiał, ludzi, narzędzia, środki transportowe, że weźmiecie odpowiedzialność za jakość tego wszystkiego, że przekonacie kogo trzeba o piecach, wentylatorach, klimatyzatorach i nagrzewnicach, że zakończymy całą przebudowę nie wiadomo kiedy i nie wiadomo za jaką cenę, oraz że dostarczącie nam jeszcze pięć kilo załączników.

Potem podpisałibyśmy umowę sześć razy, usiedli i dziwili się, że w ogóle jeszcze coś się jednak buduje, remontuje i adaptuje.

CWIEK.